

INICJATYWY

5 ... Z rogiem myśliwskim do Europy, Piotr Grzywacz

Sympatycy muzyki myśliwskiej gromadzą się od lat na Festiwalu w Tucholi.



MIĘDZY NAMI

6 ... Rasa, etniczność, rasizm, Dominika Mamro

"Indianie Czipewejowie zwykli mawiać: zachował się tak głupio, jak biały człowiek." Artykuł o różnych obliczach i korzeniach rasizmu.

10 ... Edukacja europejska, Magdalena Pokrzycka-Walczak

Praca w Unii to wyzwanie dla najlepszych i upartych. "Tylko ludzie zdeterminowani osiągną w Brukseli zawodowy sukces. Ale jego smak nie ma sobie równych" - twierdzi Agnieszka Porębska.

14 ... Polacy i Niemcy - wymiana młodzieży, Urszula Zalańska-Curyło

"Wiedzieliśmy wprawdzie, że tam gdzieś na wschodzie jest kraj, który nazywa się Polska, i że tam z pewnością są ludzie, ale co więcej? Nie mieliśmy pojęcia!"

17 ... Dobra wiadomość, Paulina Paczuska

"Zdarzył się cud, bo ktoś kochał i pragnął. Jeśli wątpicie - zapytajcie siostry Chmielewskiej..."

FOTO GALERIA

18 ... Krople słońca, Waldemar Frąckiewicz



W TEATRZE ŻYCIA

20 ... Futurystyczna terażniejszość (II), Joanna Zając

Teatr futurystyczny to jeszcze jeden z dowodów na to, jak szybko i w sztuce, i w życiu terażniejszość staje się przeszłością, a przeszłość terażniejszością.

24 ... Protest jako widowisko, Wojciech Baluch

"Rewolucja" na ulicy świnińskiej we Wrocławiu rozpoczęła się 6 listopada 1987 roku o godzinie czwartej, kiedy to w szarą rzeczywistość PRL-u wpłynął kartonowy pancernik Potiomkin.

DOM

28 ... Sarmacki gust, Anna Sieradzka

Zamilowanie do kosztownych tkanin, futer, szat długich i obfitych, podgalańców i sumiastych wąsów - niepowtarzalny wizerunek Polaka-Sarmaty.

30 ... Wróżby adwentowe, Halina Solecka

"Święta Katarzyna klucze zgubiła, święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz..."



34 ... Magia odejścia, Mariola Tymochowicz

Do dziś wielu ludzi uważa, że zachowanie niektórych zwierząt, spadające przedmioty, obrazy czy pękające bez przyczyny lustra, mogą stanowić zapowiedź czyjejs śmierci.

38 ... Oczy domu, Jadwiga Mizińska

Są okna wesołe i okna smutne, okna młode i okna zgrzybiałe (...). Okna z kotem i okna zasłonięte folią, żeby nie przeciekało.

Polecamy także:

Oferty współpracy - s. 13 i 27

Książka - Jerzy Kłoczowski, Historia Polski do końca XV wieku. - s. 29

Drodzy Czytelnicy,

Witając się z Wami, proponujemy tym razem szereg wypowiedzi, których wiążącym motywem są metaforycznie rozumiane MOSTY.

WSZYSTKIM, których interesuje szczególnie to, co nadchodzi, i którzy z chęcią wyprzedziliby czas myślą, polecamy artykuł Haliny Soleckiej na temat wróżb: andrzejkowych i katarzynkowych. Od wieków pełniąc rolę mostów przerzucanych w nieznanne, nie dają nam gwarancji na poznanie przyszłości. Z pewnością gwarantują jednak chwile refleksji, emocji i dobrej zabawy.

POSTĘPUJĄCY proces integracji europejskiej postawi nas bliżej niż dotąd w obliczu wielokulturowej rzeczywistości. O wiążących się z tym problemach pisze Dominika Mamro, wzywając do przerzucania mostów ponad rasowymi, narodowymi czy etnicznymi uprzedzeniami.

Z PEWNOŚCIĄ nie trzeba do tego zachęcać wychowanków Urszuli Zalańskiej-Curyło, którzy od lat - niezależnie od falowań wielkiej polityki - przerzucają mosty szczerzej i spontanicznie zawiązywanej przyjaźni w ramach wymiany młodzieży polskiej i niemieckiej.

W FELIETONIE Jadwigi Mizińskiej bardzo prostym, ale też dostępnym każdemu mostem prowadzącym ku drugiemu człowiekowi, wydaje się być zwykła ludzka życzliwość i pełne sympatii wzajemne zainteresowanie, których symbolem uczyniła Autorka przyjazne okna wiejskich domów.

SZEROKO otwarte na drugiego człowieka jest z pewnością serce siostry Małgorzaty Chmielewskiej. W krótkiej wypowiedzi Pauliny Paczuskiej znajdziemy potwierdzenie intuicji, że najdoskonalszym z mostów międzyludzkich jest miłość, zwłaszcza, gdy oparta jest na filarach tak niezwykle owocującej wiary.

JEJ SPRAWDZIANEM bywa dla wielu z nas bolesny moment pożegnania z najbliższymi. O roli obrzędów, które od wieków pełnią rolę mostów ułatwiających przekroczenie ciągle tajemniczej granicy życia i śmierci - zarówno zmarłym, jak i tym, którzy ich żegnają - pisze Mariola Tymochowicz w „Magii odejścia”.

STAROŻYTNI Grecy wierzyli, że na drugi brzeg przewozi nasze duże niestrudzony Charon. A może przechodzimy tam po prostu mostem? Może budujemy go, nie wiedząc o tym, naszym życiem?

Życzymy naszym Czytelnikom mostów trwałych, bezpiecznych i szczęśliwie prowadzących ku oczekiwanym brzegom.

Redakcja

REDAKTOR NACZELNY

Grzegorz Żuk

SEKRETARZ REDAKCJI

Danuta Kurczab

CZŁONKOWIE REDAKCJI

Ewa Kownacka

Joanna Zajac

ADRES REDAKCJI

skrytka pocztowa 1305

20-950 Lublin 15

fax 081 524 33 93

<http://www.obyczaje.org.pl>

e-mail: redakcja@obyczaje.org.pl

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Dialog i Współpraca”

PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU

Wiesław Wysok

SKŁAD KOMPUTEROWY

Marcin Koziół

DRUK

„baCCarat” Zakład Poligraficzny s.c.

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę przyjmuje redakcja.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, a także zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych artykułów i listów.

© Stowarzyszenie „Dialog i Współpraca”



■ Piotr
Grzywacz

Z rogiem myśliwskim do Europy...

INAUGURACJA ZAWODÓW była bardzo uroczysta. Powitanie gości, przybyłych zawodników razem z ich czworonogami. Do dyspozycji sędziów w poszczególnych konkurencjach przydzielono po dwóch sygnalistów. Ja obsługiwałem „Zagrodę”. Mener wchodził do środka, prowadził psa, a następnie puszczał go na spotkanie z dzikiem. Zauważyłem starszą panią, która każde wykonanie sygnału śledziła uważnie wzrokiem, po czym skinieniem głowy dawała znak swojego podziwu. Wkrótce okazało się, że belgijska hrabina mówi w języku niemieckim, co dało mi możliwość nawiązania bezpośredniego kontaktu. Nieśmiało zainteresował się grą również jeden z zawodników białoruskich. W pewnej chwili zapytał, czy może obejrzeć mój instrument. Podałem róg i uradowało się moje serce, kiedy wydobył poprawnie brzmiące dźwięki. Od tego momentu zaczęły się rozmowy, którym nie było końca również podczas długiego wieczoru w hotelu w Lipczynku.

Zaproponowałem wysłanie nut do Mińska i zaproszenie na Międzynarodowy Konkurs Sygnalistów Myśliwskich do Tucholi. W roku 1996 zajmowałem się organizacją Pierwszego Ogólnopolskiego Konkursu o „Róg Wojskiego”. Miłym akcentem był przyjazd trzech kolegów reprezentujących Związek Myśliwych

i Wędkarzy na Białorusi. Gościliśmy ich ponownie w roku 1997, 1998 i 2000. W maju 2001 r. to my byliśmy uczestnikami konkursu w Mińsku i obchodów 80. rocznicy powstania Związku Myśliwych i Wędkarzy na Białorusi. Podczas otwarcia i zakończenia konkursu Aleksander Gurinowicz podkreślał, że sygnały myśliwskie na Białorusi odrodziły się dzięki kontaktom z sygnalistami w Tucholi. W dniu 7 lipca 2002 roku, podczas koncertu galowego 18. Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Myśliwskiej i Wieżowej na Rynku Miejskim w Tucholi, Jürgen Kunrede, inicjator i przedstawiciel zespołu trębaczy z niemieckiego miasta Ludwigslust, podarował sygnalistom białoruskim cztery profesjonalne „Rogi Pszczyńskie”.

Spełniło się marzenie o zbudowaniu pomostu pomiędzy Wschodem i Zachodem. Muzyka myśliwska nie zna granic, zbliża narody, pokonuje różnice cywilizacyjne i ekonomiczne. Warto dodać, że w 18 letniej historii festiwalu Tucholę odwiedzali muzycy z Austrii, Białorusi, Czech, Danii, [NRD], RFN, Francji, Jugosławii, Holandii i Polski. Uczestniczyli w konkursach zespołowych i solowych dla sygnalistów myśliwskich, prezentowali hejnały swoich miejscowości i regionów, uczestniczyli w „Mszy Hubertowskiej”, podczas której części stałe liturgii mszalnej wypełniają dźwięki rogów myśliwskich.

Pomimo różnic religijnych, językowych, ekonomicznych, wszyscy razem tworzą szczerą międzynarodową wspólnotę, która pragnie spotykać się w Tucholi również w następnych latach. ■

Informacje o Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Myśliwskiej i Wieżowej w Tucholi na stronie:

http://

www.sygnaly.tuchola.pl

e-mail:

plesstuchola@poczta.onet.pl



Sygnaliści z Brandenburgii.

Którego dnia w skrzynce pocztowej znalazłem zaproszenie na „Międzynarodowy Konkurs Dzikarzy” do Przechlewka. W panteonie wymienionych organizatorów dostrzegłem nazwiska osób, znanych ze znakomitej organizacji imprez: dr Jana Oseta, Mariana Wilczewskiego, Pawła Friese, Tadeusza Dorszyńskiego... Powierzone zadanie wykonania sygnałów myśliwskich przyjąłem z radością, między innymi z uwagi na możliwość kolejnego spotkania w gronie znakomitych przyjaciół. Po zameldowaniu się przy zagrodzie dzików odegraliśmy „Powitanie”. Razem z synem i dwoma innymi kolegami uzbierała się nas cała czwórka.

Piotr Grzywacz

jest muzykiem amatorem, dyplomowanym jurorem, specjalistą w zakresie gry na rogu myśliwskim. Na co dzień pracuje w Zespole Szkół Leśnych i Agrotechnicznych w Tucholi.

Dominika
Mamro

RASA, ETNICZNOŚĆ, RASIZM

„Rasa i etniczność to słowa mające ogromne znaczenie w społeczeństwie amerykańskim i wielu innych. Ich sens zmienia się jednak w zależności od tego, przez kogo są używane.”

Norman Goodman

Rasę ludzką definiuje się zwykle jako ukształtowaną biologicznie dużą populację ludzką o swoistych cechach fizycznych przekazywanych dziedzicznie, mniej lub bardziej geograficznie i kulturowo wyodrębnioną. Zróżnicowanie rasowe ludzi uzewnętrznia się najwyraźniej poprzez barwę skóry, cechy głowy (kolor włosów, profil twarzy, zarys nosa i warg, oprawa oczu), zaś wewnętrznie we właściwościach krwi.

Antropolodzy podzielili rasę na trzy główne kategorie:

- *kaukaską* – o jasnej skórze, z falistymi, kręconymi lub prostymi włosami
- *mongoloidalną* – o żółtawym zabarwieniu skóry i z charakterystyczną fałdą wokół oczu
- *negroidalną* – o ciemnej skórze i wlnistych włosach.

Podczas gdy rasa ma związek z cechami fizycznymi, etniczność opiera się na elementach kulturowych. Członkowie grupy etnicznej mają wspólne dziedzictwo kulturowe, które jest cechą wyróżniającą ich spośród innych grup. Cechy te są wyuczone i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Znacznie łatwiej jest zmienić przynależność etniczną niż odróżniające cechy fizyczne danej rasy.

Ważne jest, by zauważyć, że istnieje związek między rasą, pochodzeniem etnicznym a tworzeniem społeczeństw. Jeżeli osobowość przekazywana jest genetycznie, to potomkowie nigdy jej nie zatracą. W momencie, gdy jest ona kształtowana kulturowo istnieje duże prawdopodobieństwo przemian.

AMERYKAŃSKI TYGIEL

Zagadnienia pluralizmu, akulturacji i asymilacji interesują szczególnie Amerykanów. Stworzyli oni tzw. „teorię tygla”, która różni się od teorii asymilacji przekonaniem, że kultura migracyjna nie roztopia się całkowicie w ogniu kultury dominującej, lecz pozostawia po sobie „widoczny” ślad.

Model wielokulturowości w Stanach Zjednoczonych przypomina witraż. Ważna jest całość, ale chroniony jest status, język i prawa każdego szkiełka. Społeczeństwo amerykańskie – ze względu na różnorod-

ność rasową i etniczną - jest tematem szczególnie interesującym antropologów i socjologów. Warto więc przedstawić pokrótce opisy podstawowych grup mniejszościowych w Stanach Zjednoczonych.

Z historycznego punktu widzenia dominującą grupę stanowią biali protestanci anglosascy, którzy przybyli na Wybrzeże Wschodnie z Wielkiej Brytanii. Mimo, że obecnie nie stanowią oni większości (ok. 25%) ludności, to w znacznym stopniu ukształtowali naturę społeczeństwa amerykańskiego.

Amerykanie pochodzenia afrykańskiego stanowią 12% społeczeństwa i w ostatnich latach stworzyli najbardziej widoczną grupę mniejszościową. Pierwszych czarnych mieszkańców przywieźli Holendrzy w 1619 roku. Byli to niewolnicy, od których wymagano pracy mającej zwrócić koszty przewozu. Choć niewolnictwo zniesiono w całym kraju w 1865 roku, problem segregacji rasowej tak naprawdę trwa do dziś, a jakość życia czarnych Amerykanów jest gorsza niż białych obywateli.

Amerykanie pochodzenia hiszpańskiego to grupa wyjątkowo zróżnicowana zarówno pod względem etnicznym, jak i kulturowym. Stanowią oni co najmniej 6% społeczeństwa i rozrastają się w szybkim tempie. Społeczność ta dzieli się na mniejsze grupy.

Amerykanie pochodzenia meksykańskiego (Chicanos) – skoncentrowani głównie w rejonie południowo – zachodnim. Początkowo uważani za tanią siłę roboczą, przenieśli się do miast, które nie były dla nich zbyt przychylne. Zachowują swój język oraz tożsamość etniczną i wywierają duży nacisk na wprowadzanie dwujęzycznego nauczania.

Portorykańczycy w 1917 roku otrzymali obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Niemal połowa z nich mieszka w gettach „hiszpańskiego Harlemu” w Nowym Yorku. Dążą do zachowania swej tożsamości kulturowej, co w połączeniu z ciemną karnacją stanowi przyczynę licznych uprzedzeń oraz dyskryminacji.

Amerykanie pochodzenia kubańskiego w większości przybyli do Stanów Zjednoczonych po rewolucji 1959 i osiedlili się blisko domu – w Miami. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych grup wywodzą się głównie z klasy średniej i są dobrze wykształceni, dzięki czemu łatwo się przystosowali do nowego środowiska.

Chińczycy kojarzyli urodę białego człowieka z brzydotą małpy. Nadzwyczaj przykry był dla nich zapach białych ludzi, a szczególnie kobiet, przypominający im zapach trupa.

Druga fala imigrantów kubańskich przybyła w 1980. Większości z nich nie powiodło się w nowym kraju i przyjęto ich bardzo wrogo.

Amerykanie pochodzenia azjatyckiego – mimo swej stosunkowo niewielkiej liczby (tylko 2%) stanowią najszybciej rozwijającą się i wysoko stojącą w sferze ekonomicznej grupę mniejszościową.

Amerykanie pochodzenia chińskiego przybyli do Stanów w okresie „gorączki złota” w Kalifornii w 1849 roku i osiedlali się głównie na Wybrzeżu Zachodnim stanowiąc źródło siły roboczej. Aby przeciwstawić się skutkom dyskryminacji zaczęli tworzyć sieci współpracy. Silne związki wewnątrz grupy hamowały asymilację w nowym środowisku, ale także wzmacniały odrębność kulturową i etniczną.

Amerykanie pochodzenia japońskiego przybyli nieco później niż Chińczycy. Ponieważ wcześniej mieli więcej kontaktów z Amerykanami, lepiej przystosowali się do nowych warunków.

„GŁUPI JAK BIAŁY CZŁOWIEK”

Istnienie różnych ras musiało prędzej czy później doprowadzić do dyskryminacji, antagonizmów i uprzedzeń. Rasizm nie miał zatem problemów z szybkim wykluczeniem się z załóżka, jakim był (i jest) podział rasowy.

„Klasyczny sposób rozumienia pojęcia rasizmu związany jest z tradycją teorii rasowo – antropologicznych, zakładających,

że istniejące pomiędzy ludźmi różnice psychologiczne, społeczne i kulturowe można wyjaśnić przez odwołanie się do zmian biologicznych, dziedzicznych w obrębie zbiorowości.”

Ruth Benedict rozumie rasizm jako „dogmat mówiący, że jedna grupa etniczna jest skazana przez naturę na dziedziczne upośledzenie, a inna jest przeznaczona do dziedzicznej dominacji”.

Przejawy rasizmu, co ciekawe, zauważyć można już w antyku, a może nawet wcześniej. Przypomnijmy sobie obrazek z filmów animowanych, na którym prehistoryczny mąż targa swą żonę za włosy do jaskini. To oczywiście raczej początki pa-

triarchatu, ale skoro tak kiedyś wyglądało życie rodzinne, to strach pomyśleć, jak praktykowano ówczesny rasizm.

W każdym razie wiadomo, że w grobach królewskich w Dolinie Królów starożytni Egipcjanie utrwaliли na malowidłach ściennych następującą hierarchię czterech ras: najwyżej stawiali ciemnoczerwoną rasę Egipcjan, za nią postępowała czarnoskóra rasa Murzynów, dalej żółtoskórych Azjatów i wreszcie – na samym końcu – białoskórych, niebieskookich, tatuuowanych Europejczyków.

Amerykańscy Irokezi natomiast podtrzymywali mit o stworzeniu świata i ludzi przez wielkiego DUCHA - BOGA. Lepił ich z miejscowej gliny: najpierw białego człowieka - złego i niedoskonałego, następnie czarnego – lepszego i doskonałego, i dopiero na końcu czerwonego człowieka – dobrego i doskonałego.

Indianie Czipewejowie zwykli nawet powiadać: „*zachował się tak głupio jak biały człowiek*”.

Chińczycy z kolei kojarzyli urodę białego człowieka z brzydotą małpy. Nadzwyczaj przykry był dla nich zapach białych ludzi, a szczególnie kobiet, przypominający im zapach trupa. Przez wiele stuleci Chińczycy nie mieli wątpliwości, że pod

każdym względem ludzie rasy żółtej stoją wyżej od rasy białej.

NIEWOLNICY I LUDZIE

A czy biali byli lepsi? Oni również nie szczędzili (i nie szczędzą do dzisiaj) obelg wobec ludzi innych ras. Gdy białoskórzy Ariowie około 1500 roku podbili ciemnoskórego lud zamieszkujący Indie, wydał im się podobny do małp, a jego mowa podobna do szczekania psów. Różnice rasowe oparte na wrodzonych cechach ludzkich

stały się tam ważnym czynnikiem ukształtowania systemu kastowego, który je utrzymał po nasze czasy.

Aż trudno uwierzyć, że niektórzy upatrują przejawy rasizmu nawet w Starym Testamencie. Traktuje się tam o nieszczęściu syna Chama, który zobaczył swego ojca Noego, gdy ten był nagi i pijany. Skutki nieszczęścia Chama spadły na jego syna Kanaana, gdyż dziadek Noe uczynił go sługą braci. Interpretatorzy Biblii wysnuli z tej opowieści wniosek, że przeznaczeniem jednych jest służyć innym. Rasiści natomiast odczytali ją jako biblijne uzasadnienie nierówności rasowej, wykorzystując to m.in. przy usprawiedliwianiu niewolnictwa Murzynów w Ameryce.

W epoce wielkich odkryć geograficznych biały człowiek, przemierzając świat

W epoce wielkich odkryć geograficznych biały człowiek, przemierzając świat ze strzelbą w jednym ręku i Biblią w drugim, posługiwał się rasistowskimi mitami o swym posłannictwie cywilizacyjnym.

ze strzelbą w jednym ręku i Biblią w drugim, posługiwał się rasistowskimi mitami o swym posłannictwie cywilizacyjnym. Biali Europejczycy, uzasadniając wyzysk i wyniszczanie czerwonoskórych Indian amerykańskich, byli przekonani, że to czerwonoskórzy są istotami niższymi od nich. Indianie chodzili przecież nago, jedli pająki, robaki, a nawet ludzkie ciało i nie znali abstrakcyjnego pojęcia sprawiedliwości. „*Lepiej przeto jest - twierdzili hiszpańscy konkwistadorzy - być niewolnikiem wśród ludzi, niż samodzielnym zwierzęciem*”.

Długo utrzymywana teza, że poganie mogą uzyskać pośmiertne zbawienie dzięki pozostawaniu na padole ziemskim w niewolnictwie, straciła swój sens, gdy zaczęli oni przechodzić na chrześcijaństwo. Wówczas zastąpiono ją poglądem, że niewolnictwo ras podbitych jest konieczne dla ich rozwoju społecznego. Pod naciskiem idei humanitarnych i odkryć naukowych, obalających mitologię rasistowską, musiano zrezygnować i z takiej argumentacji.

Należy podkreślić, że do czasów kapitalizmu brak jednak jakichkolwiek dowodów potwierdzających tezę, aby różnice rasowe stanowiły główną przyczynę konfliktów politycznych. Dopiero kolonializm, imperiaлизм i militarizm znalazły w rasizmie do-

skonałego sojusznika ideologicznego, mogącego z powodzeniem konkurować z innym ich sojusznikiem – nacjonalizmem. Dla obu tych ideologii podłoże myślowe stwarzała darwinowska teoria walki o byt.

Swoistym przedstawicielem niemieckiego rasizmu był znany kompozytor Richard Wagner. Swoje antyżydowskie poglądy krzewił w muzyce i muzykologii. On także jest autorem słów: „*Wyzwolenie spod jarzma judaizmu jest dla nas koniecznością*”.

Niewątpliwie na kształt powyższych teorii wpływ miała atmosfera schyłku XIX wieku, wraz ze swoim dekadentyzmem i przekonaniem o bliskim końcu cywilizacji zachodniej. Niestety, podobne teorie zdobywają znowu zwolenników...

WIĘCEJ BLONDYNEK?

Pomimo, że segregacja rasowa właściwie dokonała żywota wraz z upadkiem Apartheidu, cały czas mamy do czynienia z rasizmem. Miejsce dyskryminującego prawa zajęła codzienna praktyka w stosunkach międzyludzkich. Wciąż wiele jest osób poniżanych, zastraszone lub choćby traktowanych w nierówny sposób.

„*Wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi pod względem swej godności i swych praw. Są oni obdarzeni rozumem i sumieniem i powinni postępować wobec innych w duchu braterstwa*” (art. 1 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka). Organizacja Narodów Zjednoczonych stworzyła tę Deklarację, aby zapewnić wszystkim ludziom na ziemi takie same prawa, obowiązki i możliwości. Jest to dwojakiego rodzaju zabezpieczenie interesów wszystkich ludzi na ziemi, aby stworzyć im możliwość spokojnego i szczęśliwego życia. Ci, którzy dzisiaj prześladowani, jutro mogą być ofiarami.

Aby ocalić pamięć o siedemdziesięciu uczestnikach pokojowej demonstracji na rzecz równouprawnienia, którzy zginęli od kul policyjnych w 1960 roku, ONZ ogłosiła dzień 21 marca Międzynarodowym Dniem Walki z Rasizmem. Na skutek działań pozarządowych, obchody tego dnia szybko obrastają w inicjatywy, które mają przekonać opinię publiczną o bezsensie wszelkich przejawów rasizmu.

Na temat rasy i rasizmu wyraził pogląd także Claude Lévi-Strauss. Swoje przemyslenia zawarł w wykładzie zatytułowanym „Rasa i kultura”, który napisał i wygłosił na zamówienie UNESCO w 1972 roku z okazji inauguracji Międzynarodowego Roku Walki z Rasizmem. Jego ideą przewodnią było stwierdzenie, że RASA JEST JEDNA Z FUNKCJI KULTURY. Stwierdził on, iż formy kultury przyjmowane w różnych miejscach przez ludzi, ich taki czy inny tryb życia dominujący w przeszłości lub do dzisiaj, określają w ogromnej mierze

ich ewolucję biologiczną i jej ukierunkowanie. Jeżeli norma kulturowa na przykład faworyzuje blondynki o skłonności do tycia, grupa będzie ewoluować w kierunku rasy pulchnych jasnowłosych; jeżeli ważna rytualnie jest zdolność wypicia dużej ilości alkoholu bez widocznych skutków ubocznych, w naszej grupie zwiększy się procent ludzi z mocną głową.

Levi-Strauss uważa, że tym, co w człowieku zdeterminowane przez dziedziczność, jest ogólna zdolność do przyswojenia sobie dowolnej kultury, ale to, która z nich będzie jego własną kulturą, zależy od przypadku urodzenia i społeczeństwa, w jakim się wychowa. Gdybyśmy byli genetycznie przeznaczeni do jednej konkretnej kultury, nie moglibyśmy się przystosować do zmian kulturowych, które następują coraz szybciej.

Każda kultura dokonuje selekcji zdolności genetycznych, a te reagują zwrotnie, wpływając na kulturę, która przyczyniła się pierwotnie do ich umocnienia - niektóre preferowane przez daną kulturę cechy mają podłoże genetyczne (np. wysoki wzrost czy niebieskie oczy), kultura preferuje ich nosicieli (niebieskookie blondynki mają wielu wielbicieli), ich liczba może z tego powodu wzrosnąć, wtedy oni zaczynają oddziaływać na kulturę przekształcając ją jeszcze bardziej w tym kierunku.

Różnice rasowe służą jako pretekst tłumaczący rosnącą trudność życia razem, odczuwaną podświadomie przez ludzkość nękaną eksplozją demograficzną. To samo powtarza się zawsze, gdy dzielimy ludzi, choćby w szkole - towarzyszy temu sytuacja współzawodnictwa, stronniczość, niesprawiedliwość w stosunku do drugich.

Metafora użyta przez Levi-Straussa w swoisty sposób prezentuje ten problem: „*niby robaki w mące, niszczące się na odległość truciznami przez nie same wydzielanymi, zanim jeszcze ich gęstość nie stanie się większa niż zasoby żywności w zamykającym je worku - ludzkość zaczyna samej siebie nienawidzić, ponieważ ukryte przeczcucie ostrzega ją, że staje się zbyt liczna, aby każdy z ludzi mógł swobodnie korzystać z podstawowych dóbr*” (wolna przestrzeń, czysta woda, nieskażone powietrze).

Według Levi-Straussa sposobem na pokój na świecie byłoby rozbitcie ludzkości na małe grupy, żyjące daleko od siebie, ewoluujące każda na własny sposób, komunikujące się ze sobą w ograniczonym stopniu, przenikające i krzyżujące się w sposób kontrolowany i nieznaczny. Powstanie globalnej wioski niszczy ten piękny obraz, znikają szanse wypróbowania nowych kombinacji genetycznych i doświadczeń kulturowych.

SYSTEM ROZPĘTANEJ NIETOLERANCJI

Wiadomo, że jest źle, ale będzie coraz gorzej. Konflikty na tle rasowym to dopiero wstęp do tego, co nadejdzie. Należy pamiętać, że przyczyny problemów tkwią nie tylko w niewiedzy i przesądach: „*nadzieję możemy pokładać tylko w zmianie biegu historii, jeszcze trudniejszej do osiągnięcia niż postęp w dziedzinie myśli...*”

W naszym kraju ideologia rasistowska ma nieco inny charakter niż w krajach, w których znajdują się duże grupy napływowej ludności. Jednak w życiu codziennym rasizm jest w Polsce tak samo palącym problemem. Zaczyna się od szkoły podsta-

Oblegane krakowskie uczelnie, cieszą się popularnością wśród studiujących tam obcokrajowców, którzy narzekają jednak na brak tolerancji oraz objawy dyskryminacji czy rasizmu.

wowej, kiedy dzieci wyśmiewają się z rudych lub tych, którzy noszą okulary... Potem jest szkoła średnia, kiedy nagle orientujemy się, że niektórzy z naszych dawnych kolegów z podwórka zgolili głowy i nagle stali się bardzo dumni, że są Polakami. Boją się ich nie tylko „obcy”. Wrogiem może stać się każdy: bezdomny, długowłosy, ten, kto ma zbyt długi nos, albo po prostu słabszy... Aż wreszcie studia. Oblegane krakowskie uczelnie, cieszą się popularnością wśród studiujących tam obcokrajowców, którzy narzekają jednak na brak tolerancji oraz objawy dyskryminacji czy rasizmu.

Koffi Bentsi z Nigerii, przyszły inżynier mechanik, wielokrotnie spotkał się z wyzwiskami, raz nawet został pobity. „*Pamiętam, kiedy przyjechałem pieruszy raz. Wszyscy gapili się na mnie, jakbym był jakimś ufoludkiem. Jednak to uszyszko są sprawy marginalne. Naprawdę mam wielu przyjaciół, bo ludzie w Krakowie są bardzo otwarci i przyjaźni.*” - komentuje.

„*Być może do tej pory nie zdawałeś sobie sprawy, jak ważnym problemem jest rasizm i nietolerancja. Prawdopodobnie nikt nie nazwał cię „asfalem” ani „bambusem”. Nie musiałeś jeździć oddzielnymi autobusami, chodzić do innych, gorszych szkół. Nikt nie sprawiał ci trudności w załatwianiu jakichś urzędowych spraw, tylko dlatego, że urodziłeś się z takim, a nie innym kolorem skóry*” - rzekł kiedyś pewien zdyskryminowany.

O rasizmie nie wystarczy tylko wiedzieć. Z rasizmem należy walczyć. ■

BIBLIOGRAFIA:

- Davies Norman, 1998, Europa
- Goodman Norman, 1997, Wstęp do socjologii, Zysk i S - ka
- Rokicki Jarosław, 2000, Rasa i etniczność: konstrukcja porządku społecznego w amerykańskim tyglu, w „Przegląd Polonijny” nr 4
- Szacki Jerzy, (wyd. po 1980), Historia myśli socjologicznej
- „Pomagamy” - nowoczesne pismo wolontariuszy PAH, nr 7, maj 2000

Dominika Mamro
jest studentką II roku kulturoznawstwa międzynarodowego na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Magdalena
Pokrzycka-Walczak

Edukacja europejska

Integracja Polski z Unią Europejską dokonuje się na naszych oczach. O ile wszystko potoczy się zgodnie z oczekiwaniami, nasz kraj stanie się pełnoprawnym członkiem europejskiej wspólnoty w 2004 roku.

MIMO ZATACAJĄCEJ szerokie kręgi rządowej kampanii informacyjnej przed przyszłorocznym referendum, tak naprawdę niewiele miejsca poświęca się w niej perspektywom, które pojawią się przed młodymi, doskonale wykształconymi Polakami w momencie integracji. Zdaniem Danuty Huebner, ministra ds. europejskich i szefa Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej, wszyscy, którzy chcą związać swą zawodową przyszłość z pracą w instytucjach europejskich, muszą już dziś pomyśleć o zdobyciu dobrego „europejskiego” wykształcenia. – „Osoby, które mają już dyplom wyższej uczelni powinny kształcić się na studiach poddyplomowych, przykładowo z zakresu prawa europejskiego – twierdzi minister Huebner - Jedynie staranne wykształcenie i znajomość minimum dwóch języków, zwłaszcza angielskiego i francuskiego, otworzy przed nimi możliwość starania się o pracę w instytucjach europejskich.”

Oferta edukacyjna dla zainteresowanych studiami europejskimi jest w Polsce jeszcze niezbyt bogata, w porównaniu z krajami Unii Europejskiej, ale daje możliwość uzyskania wysokich kwalifikacji. Od ponad dziesięciu lat kształcą przyszłych pracowników unijnych instytucji Uniwersytet Europejski Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, kilka lat funkcjonuje w Polsce kampus Kolegium Europejskiego w Natolinie, zaś od niespełna roku – Europejskie Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów w Lublinie – przyszły Uniwersytet Polsko-Ukraiński. Czym różnią się te instytucje od „europejskich” kierunków, oferowanych od niedawna przez polskie uniwersytety oraz prywatne i państwowe szkoły wyższe? Nauka odbywa się tam wyłącznie w językach Unii Europejskiej – francuskim, angielskim lub niemieckim, zaś studenci pochodzą z różnych krajów Europy i świata. W żadnej polskiej szkole wyższej nie udało się połączyć wysokiej specjalizacji oraz interdyscyplinarnego charakteru studiów europejskich z praktycznym doświadczeniem kulturalnej różnorodności, nabywanym poprzez codzienne przebywanie i wspólną

pracę w prawdziwej europejskiej społeczności. Społeczność taką tworzą natomiast studenci i profesorowie Kolegium Europejskiego w Natolinie i Brugii.

NATOLIN BLIŻEJ EUROPY

- Wciąż rośnie zainteresowanie studiami w Natolinie i to zarówno w krajach kandydujących, jak i obecnych krajach członkowskich – twierdzi Piotr Nowina-Konopka, wiceprektor Kolegium Europejskiego i szef kampusu Kolegium Europejskiego w Natolinie. Niedawno kolejni absolwenci opuścili mury natolińskiego kampusu College of Europe. Obecnie trwają przygotowania do przyjęcia następnej grupy przyszłych europejskich liderów. - Na środkowej, wschodniej, a także południowej Europie – mimo różnych naszych perturbacji z Unią Europejską i tamtejszą stagnacją decyzyjną – nadal skupia się uzasadniona ciekawość i nadzieja, zwłaszcza ludzi młodych.

Natolin to nowoczesna dzielnica mieszkaniowa Warszawy, usytuowana na południowym krańcu stolicy. To również nazwa jednego z dwóch europejskich kampusów Kolegium Europejskiego, niezależnej instytucji akademickiej, kształcącej młodzież w zakresie szeroko pojętej edukacji europejskiej. Natolińska placówka usytuowana jest na terenie urokliwego 120-hektarowego, historycznego parku – rezerwatu przyrody. W 1999 roku, na mocy trójporozumienia zawartego między rządem Rzeczypospolitej Polskiej, Komisją Europejską oraz College of Europe, otrzymała oficjalny status drugiego kampusu Kolegium Europejskiego.

Misją College of Europe – najstarszej instytucji tego typu w Europie – jest edukacja i szkolenie praktyczne młodzieży w zakresie szeroko rozumianych zagadnień europejskich. Kandydaci do nauki wybierani są spośród wielu chętnych z krajów Europy, nawet Stanów Zjednoczonych i Japonii, a selekcja jest bardzo ostra. *- Ostatnio mieliśmy problem z wyłonieniem z grona dziesięciu kandydatów z Estonii dwóch uczestników studiów – twierdzi szef natolińskiego kampusu – Ostatecznie przyjęliśmy kryterium znajo-*

mości sześciu języków obcych. Ci, którzy znali pięć – musieli odpaść.

Polska jest na uprzywilejowanej pozycji pod względem liczby studentów. Stanowią oni 20 procent ogólnej liczby uczących się. Przedstawiciele innych państw mają do dyspozycji przeciętnie dwa - trzy miejsca. Obecnie w obu kampusach Kolegium, w Natolinie i Brugii, uczy się 375 studentów z 40 krajów. Wśród wykładowców jest 140 profesorów i praktyków z 25 państw.

Kandydaci do nauki w kolegium w Natolinie muszą mieć ukończone studia wyższe (najlepiej ekonomię, prawo lub nauki polityczne) i znać biegle dwa języki – angielski i francuski. Zajęcia odbywają się w tych dwóch językach, podobnie jak egzaminy.

Jednym z wykładowców kampusu Kolegium Europejskiego w Natolinie jest prof. Jerzy Kłoczowski, dyrektor Instytutu Europy Środkowowschodniej w Lublinie. – *Od dawna miałem kontakt z kolegium w Brugii, gdzie rektorem był prof. Jerzy Łukaszewski z KUL* – wspomina prof. Kłoczowski. – *Kiedy zaproponowano mi prowadzenie regularnych wykładów w natolińskim kampusie nie kryłem swojej radości.*

Prof. Kłoczowski chwali sobie pracę z młodzieżą w Natolinie. – *Mam wyjątkową satysfakcję, że wprowadzam studentów w nieznaną większości z nich tematykę dotyczącą Europy Środkowowschodniej. Wiele osób odkrywa dopiero duży obszar znajdujący się między Europą Zachodnią i Rosją, stąd wiele pytań w czasie moich wykładów.*

Zdaniem profesora, Natolin to wspańiałe doświadczenie zarówno dla profesorów, którzy zjeżdżają tu z całej Europy, jak i studentów – najlepszych z najlepszych, którzy odbywają tu prawdziwą szkołę życia i bycia Europejczykami.

Młodzi ludzie w Natolinie mają doskonałe warunki do nauki. Znakomicie wyposażona biblioteka i czytelnia oraz sale wykładowe, nieograniczony dostęp do Internetu. Każdy student ma swój własny pokój z łazienką i biuro z komputerem. Ale ten komfort okupiony jest ciężką pracą i wyrzeczeniami – 10-miesięczna nauka i zajęcia odbywające się często także w weekendy wymagają dyscypliny i odporności, głównie psychicznej. Dlatego studentami mogą zostać najlepsi.

LUBELSKIE KOLEGIUM EUROPEJSKIE

- Nauka była, jest i będzie silniejsza niżeli granice, wizy i paszporty – mówił prezydent RP Aleksander Kwaśniewski w czasie uroczystej inauguracji działalności Europejskiego Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów w Lublinie pod koniec października ubiegłego roku. - *Mam nadzieję, że z czasem działalność i sukce-*

sy lubelskiego ośrodka, a za kilka lat z pewnością już samodzielnego Uniwersytetu Polsko-Ukraińskiego, będą w pełni porównywalne, a może nawet lepsze od istniejącego już od ponad dziesięciu lat Polsko-Niemieckiego Uniwersytetu we Frankfurcie nad Odrą.

Europejskie Kolegium jest wspólnym przedsięwzięciem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu Kijowskiego im. Tarasa Szewczenki, Uniwersytetu im. Iwana Franki we Lwowie, Akademii Kijowsko-Mohylańskiej oraz Instytutu Europy Środkowowschodniej. – *Kolegium to europejska uczelnia, która wkrótce stanie się europejskim uniwersytetem, a jej absolwenci będą obywatelami Europy, obojętnie, czy mieszkać będą i pracować w Warszawie, Kijowie, Oksfordzie, Paryżu, Wilnie, czy Mińsku* – zapewnia prof. Jerzy Kłoczowski, przewodniczący Konwentu Europejskiego Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów.

Głównym zadaniem Kolegium jest prowadzenie działalności naukowo-dydaktycznej m.in. poprzez kształcenie na poziomie studiów magisterskich i doktoranckich, których program uzgodniony jest między stronami przedsięwzięcia. Studia magisterskie rozpocząć się mają jednak najwcześniej w 2005 roku.

Absolwenci Kolegium otrzymują dwa dyplomy poświadczające ukończenie jednego z polskich i ukraińskich uniwersytetów. Obecnie uczy się tu ponad setka

Misją College of Europe – najstarszej instytucji tego typu w Europie – jest edukacja i szkolenie praktyczne młodzieży w zakresie szeroko rozumianych zagadnień europejskich.

doktorantów z Ukrainy, Białorusi, Polski, a wkrótce również Stanów Zjednoczonych, którzy reprezentują różne dziedziny nauki – od humanistyki po informatykę i medycynę. Program studiów oparty jest na dwóch modelach kształcenia. Pierwszy z nich to specjalizacja związana z przewodem doktorskim, zaś drugi to stały moduł europejski. W jego programie znajdują się wykłady znanych profesorów (Mykoła Riabczuk, Pawło Hrycenko, Jarosław Hrycak, Michał Esiów, Klaus Ziemer, Paul Moreau, Chantal Millon-Delsol, Jerzy Kłoczowski, Zbigniew Kruszewski) którzy zapoznają studentów m.in. ze złożonymi koncepcjami Europy Środkowowschodniej,

polską geopolityką, źródłami wartości europejskich oraz miejscem Polski i Ukrainy w Unii Europejskiej widzianym oczami Niemców.

TRADYCJE VIADRINY

Rolę naukowego pomostu między wschodem i zachodem Europy od dziesięciu lat odgrywa z sukcesem Uniwersytet Europejski Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Uczelnia jest uniwersyteckim miejscem spotkania młodych ludzi z całego

Wbrew pozorom unijni pracodawcy nie poszukują wyłącznie ludzi młodych do 35 lat. W procesie rekrutacji największe znaczenie przywiązują do dobrego wykształcenia, doświadczenia zawodowego i znajomości języków

świata i ośrodkiem naukowym, w którym studenci wraz ze swymi profesorami próbują rozwiązać problemy aktualnie dotykające Europę.

Na trzech wydziałach uniwersytetu – prawa, ekonomii i kulturoznawstwa – kształcą się kilka tysięcy studentów z prawie 40 krajów świata. Duża liczba studentów zagranicznych (jedną trzecią miejsc, zgodnie z przyjętą przez założycieli Uniwersytetu zasadą, przyznano Polakom) ma służyć wytworzeniu klimatu porozumienia i gotowości do dialogu poprzez poznanie bogactwa odrębności kulturowych, z których składa się przecież Europa.

- Imponuje mi różnorodność językowa i tradycje Uniwersytetu Viadrina – mówi Monika Ruszewska z Lublina, która starała się niedawno o przyjęcie w poczet studentów renomowanej szkoły we Frankfurcie. – W bliskiej już perspektywie integracji Polski ze strukturami Unii Europejskiej doskonale wykształcenie i dyplom tej uczelni to szansa na dobrą pracę w rozszerzonej Wspólnocie. Choć Monice nie udało się teraz zrealizować swego marzenia, nie traci nadziei, że zostanie studentką Viadriny w przyszłym roku. – Przez ten czas będę uczyć się francuskiego i doskonale angielski – przecież znajomość języków w Unii jest tak samo ważna jak dobre wykształcenie.

Obok studiów dyplomowych w języku angielskim (International Business Administration) i niemieckim (Ekonomika przedsiębiorstwa, Międzynarodowa ekonomika przedsiębiorstwa, Ekonomia, Kulturoznawstwo, Prawo) oraz polskim (Studia uzupełniające prawa polskiego) uczelnia oferuje

także studia podyplomowe w języku angielskim (Zarządzanie i marketing dla Europy Środkowowschodniej), niemieckim (Prawo niemieckie dla prawników zagranicznych oraz Ochrona europejskich dóbr kultury) oraz w obu tych językach (International Business Administration, Porównawcze studia środkowoeuropejskie, European Studies).

Większość studentów Viadriny zakwaterowana jest w nowoczesnie urządzonej akademice we Frankfurcie i Ślubicach. Do ich dyspozycji są jedno- i dwuosobowe pokoje z kuchenką i prysznicem oraz komputery z dostępem do Internetu.

PRACA W BRUKSELI

Praktycznie już dziś Polacy znający biegle dwa języki (angielski i francuski), z wyższym wykształceniem prawniczym lub ekonomicznym i wiedzą na temat funkcjonowania instytucji unijnych mogą rozpocząć poszukiwania pracy w unijnej stolicy – Brukseli. Niedawno Służba Prawna Unii Europejskiej (Legal Service of the Council of the European Union) rozpoczęła rekrutację ekspertów prawno-językowych z państw kandydujących. Kandydaci powinni posiadać wyższe wykształcenie prawnicze i znać co najmniej dwa oficjalne języki Wspólnoty, w tym angielski lub francuski. Ci, którzy pozytywnie przejdą procedurę naboru będą musieli, o ile nie znają angielskiego lub francuskiego, w krótkim czasie nauczyć się drugiego z tych języków.

Zadaniem ekspertów prawno-językowych jest ostateczne redagowanie aktów ustawodawczych przyjętych przez Radę Unii Europejskiej, w celu zapewnienia ich pełnej zgodności we wszystkich językach oraz wysokiej jakości przygotowywanych projektów. Obowiązkami ekspertów pochodzących z krajów kandydujących będzie przygotowywanie tłumaczeń i weryfikacja dokumentów akcesyjnych swych państw. Ich zadaniem będzie też zapewnienie poprawności przekładów „acquis communautaire” na języki krajów kandydujących. Po przyjęciu państw aspirujących do Unii, jej instytucje będą organizować konkursy na stanowiska ekspertów prawno-językowych jako urzędników.

Wbrew pozorom unijni pracodawcy nie poszukują wyłącznie ludzi młodych do 35 lat. W procesie rekrutacji największe znaczenie przywiązują do dobrego wykształcenia, doświadczenia zawodowego i znajomości języków (im więcej, tym lepiej). Co ciekawe, coraz częściej w ogłoszeniach o pracy w Brukseli pojawiają się dodatkowe informacje dla kandydatów, którzy pochodzą z krajów aspirujących do członkostwa. Europejska Sieć Organizacji przeciw Rasizmowi poszukująca menedżera do

spraw strategii, zawiadamia potencjalnych zainteresowanych, że wszystkie nadesłane aplikacje, niezależnie od tego, czy pochodzą od obywateli z krajów UE, czy też spoza wspólnoty, będą traktowane jednakowo poważnie. Wśród wymagań stawianych kandydatom organizacja wymienia m.in. doskonałą znajomość strategii wypracowywanych przez UE na polu walki z rasizmem oraz doświadczenie w zakresie ich wprowadzania w sektorze pozarządowym, a także znajomość zasad lobbyingu.

Wiele organizacji i instytucji oraz placówek dyplomatycznych w Brukseli poszukuje obecnie urzędników prasowych. Potencjalni kandydaci obok znajomości kilku języków i doświadczenia zawodowego muszą posiadać wiedzę na temat działalności instytucji europejskich oraz specyfiki pracy w „wielokulturowym europejskim środowisku”.

- *Najważniejsze jest „zaczepienie”, a potem człowiek adaptuje się do nowego otoczenia i powoli znajduje w nim swoje miejsce* – mówi Agnieszka Porębska, polska tłumaczka, która pracuje w Brukseli od kilku lat. Jej zdaniem, znalezienie dobrej pracy w stolicy Europy nie jest wielkim problemem. – *Trzeba znać języki,*

najlepiej kilka i orientować się w specyfice unijnego rynku pracy – twierdzi pani Agnieszka, która biegle włada angielskim, francuskim, włoskim i niemieckim. – *Jeżeli chcemy pracować w instytucjach unijnych, bezwzględnie powinniśmy znać ich strukturę i kompetencje. Nie możemy liczyć na to, że nauczymy się, gdy nas już zatrudnią. Nic z tego – bez elementarnej wiedzy i konkretnych umiejętności wymaganych na danym stanowisku nie dostaniemy wymarzonej posady.*

Zdaniem pani Agnieszki, Polacy mają spore szanse na pracę w unijnych instytucjach. – *Muszą jednak pamiętać o tym, że o zatrudnieniu decydują wyniki przeprowadzanych, na każde stanowisko oddzielnie, konkursów. Pracę bez trudu dostaną osoby mające wysokie kwalifikacje, znające kilka języków, posiadające umiejętności szybkiego dostosowywania do zmieniających się warunków, łatwo nawiązujące kontakty i odporne na stres.*

Praca w Unii to wyzwanie dla najlepszych, najzdolniejszych i upartych. – *Tylko ludzie zdeterminowani osiągną w Brukseli zawodowy sukces. Ale jego smak nie ma sobie równych* – twierdzi pani Agnieszka. ■

Magdalena Pokrzycka-Walczak
jest dziennikarką, pracuje w Akademickim Centrum Kultury „Chatka Żaka” UMCS w Lublinie

Partner Search CULTURE 2003

European Traditional Cultural Roots (Celebrations, Music Festival, Folk)- Mancomunidad Tajo-Salor-Extremadura

The Mancomunidad "Tajo-Salor", conscience about the importance that the diffusion of our culture has, wants to emphasize our cultural diversity and wants to share it, and to stand it out in the European zone. This community is formed by the municipalities: Aliseda, Arroyo de la Luz, Brozas, Casar de Cáceres, Garrovillas de Alconétar, Malpartida de Cáceres, Navas del Madrono y Villa del Rey, and with a population rate of 25.000 habitants, this zone has a rich and festive panorama: tradition and culture join together around gastronomy, craftsmanship, religion and natural environment. Good examples for it are: Día de la Luz, Ronda de Reyes, dances and popular songs, the cheese as an economic and cultural factor, etc. These eight municipalities celebrate too, since 1989, the tench day, a celebration professed as interesting because of its gastronomy and tourism by the Junta de Extremadura (Fiesta de Interés Turístico Gastronómico). Around this celebration, different demonstrations and cultural acts are organized. The peculiarities of each one of this villages, including the tench, as a common element of the group, are characteristics that must build up the cultural identity of all the community and these characteristics must be diffused around other countries of the European Union.

With the application of the programme "Cultura 2000" the next year we are trying to initiate a multidisciplinary work, that must start out with the joined investigation (between the Mancomunidad Tajo-Salor and the allied countries) about our roots, celebrations, music and folk. This investigation must stem from the staging of a multimedia production showing the cultural identity of the participant municipalities through the theatre, dance, music and video. This process, relying on the help of cultural agents, members of different cultural groups (theatre, dance and music groups). It will be played in different cultural scenarios of these municipalities. It will included the work of dramatics, the music adaptations, the capture of representative images and its structure, the choreographic studio of the dances, the theatrical treatment for giving to the group an appearance of tradition and modernity, obtaining a show integrating the rites of our regional area and the celebration (video, theatre, dance, music) and the creative utilization of the new technologies. It will take us the theatre as a scenic form of communication.

The tench day, common and festive element in the zone, will be the main area we way organize a second show around, with circus and street theatre, the water and the tench will turn into the main ritual elements including too zone of the cultural tendencies emphasized in the multimedia production that will be take to the allied countries.

Contact Person:
Begona García Bernal
Mancomunidad Tajo-Salor
Plaza del Siglo s/n
E- 10910 Malpartida de Cáceres
Spain
Tel: 00 34 927 27 62 55/ 927 27 60 81
Fax: 00 34 927 27 60 49
Email: tajus@cetv.es

Polacy i Niemcy

– wymiana młodzieży

SZUKANIE SZKOŁY PARTNERSKIEJ

W 1991 roku rozpoczęłam pracę w Liceum Ogólnokształcącym w Miechowie jako nauczycielka języka niemieckiego. Wiedziałam, że oprócz zwykłych czynności nauczyciela powinnam dążyć do umożliwienia uczniom bezpośredniego kontaktu z językiem, a taką możliwość dawała międzynarodowa wymiana uczniów. Nie wyobrażałam sobie, że może mi się nie udać, ale idea okazała się trudna do zrealizowania. Przez trzy lata próbowałam znaleźć szkołę partnerską w Niemczech. Niestety nie było to takie łatwe. Niemcy chętnie robili wymiany z Francuzami, Anglikami, Hiszpanami, nawet Amerykanami, ale wschód Europy nie był dla nich interesujący. Dopiero uczestnictwo w seminarium dla nauczycieli polskich i niemieckich pt. „Wspólne spotkanie i nauka w Oświęcimiu. Czy to możliwe?” w 1994 roku zbliżyło mnie trochę do obranego celu. Seminarium zostało zorganizowane przez Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży. Niestety i tam chętnych do wymiany szkół ze strony polskiej było o wiele więcej niż ze strony niemieckiej.

Tam spotkałam Bernada Wöfla, nauczyciela historii, angielskiego i rosyjskiego w Olimpia Morata Gymnasium w Schweinfurcie w Bawarii. Był jedynym nauczycielem, który myślał o szkole partnerskiej w Polsce, inne szkoły miały już współpracę z naszym krajem. Bernd wziął kilka adresów szkół i powiedział wszystkim, że porozmawia ze swoim dyrektorem i odezwie się. Wracając z Oświęcimia spędził – jak później opowiadał – cały dzień w Krakowie. Gród Kraka oczarował go i zapragnął do niego wrócić. Dobrze się złożyło, bo Miechów leży zaledwie 30 min. samochodem od Krakowa i najprawdopodobniej to właśnie zdecydowało, że odezwał się właśnie do mnie.

WYMIANA DELEGACJI SZKÓŁ

Po około rocznej korespondencji, Bernd wpadł na pomysł wymiany delegacji, abyśmy mogli bliżej przyjrzeć się naszym szkołom. Od tego momentu zaczęłam prowadzić kronikę naszej współpracy. Pierwsi przyjechali Niemcy: Bernd Wöfel wraz ze swoim dyrektorem, panem Arnimem Hacklem. Był koniec kwietnia 1995 roku. Pano-

wie z Frankonii oczarowali wszystkich, którzy mieli z nimi kontakt. Okazali się ludźmi światłymi, zainteresowanymi naszą kulturą, sztuką. Zachwycali się wszystkim: witrażem „Bóg Ojciec” w kościele Franciszkanów w Krakowie i bigosem jedzonym w ogrodzie naszej koleżanki, wicedyrektor Basi Komorek. Podbili tym nasze serca. Reprezentowali nie tylko swoją szkołę, ale wszystkich nauczycieli niemieckich. Razem z mężem doszliśmy do wniosku, że nauczyciele niemieccy to ludzie bardzo dobrze przygotowani nie tylko do swojego zawodu, ale również mający szeroką wiedzę ogólną. Był to nasz pierwszy dłuższy kontakt z nauczycielami niemieckimi, oczywiście dobre zdanie pozostało na dłużej, ale potem trochę je zweryfikowaliśmy. Okazało się mianowicie, że panowie Wöfel i Hackl nie byli przeciętnymi reprezentantami nauczycieli niemieckich, niewątpliwie byli zdecydowanie powyżej przeciętnej. W „Gazecie Kieleckiej” ukazał się wtedy pierwszy artykuł napisany przez naszego kolegę Zbigniewa Wojtlika o naszej współpracy pt. „Kto szuka ten znajdzie”.

Rewizyta nastąpiła z końcem czerwca 1995 roku. 24 czerwca udałyśmy się wraz z koleżanką Basią Zaich w drogę do Bawarii. Dyrekcja zajęta sprawami szkolnymi nie mogła rewidytować Schweinfurtczyków.

W ciągu paru dni poznałyśmy rodziny naszych przyszłych współpracowników, zobaczyłyśmy szkołę, poznałyśmy kilka miast. Miasta Bamberg, Würzburg, Norymberga, Monachium i inne naprawdę godne były zobaczenia. W rodzinach naszych kolegów nauczycieli przyjęto nas bardzo serdecznie i gościnnie.

PIERWSZA WIZYTA WE FRANKONII

Pierwsza grupa młodzieży naszej szkoły pojechała do Schweinfurtu w październiku 1995 roku. W OMG powitano nas niezwykle gorąco biało-czerwonymi kwiatami dla nas nauczycielek, uczennice otrzymały po białym goździku, a chłopcy po czerwonym, poczęstowano nas herbatą lub kawą w białych filiżankach, które stały na czerwonej serwetce.

Dopiero dzisiaj mam głębszą świadomość tego, jak bardzo odważni byli moi uczniowie. Iluż uczniów po skończeniu szkoły średniej może naprawdę dobrze

rozmawiać i na każdy temat dyskutować w języku obcym? Trzeba wejść do obcego domu, a potem przyjąć gościnnie w swoim człowieku z innego kraju.

Dyrektor Hackl w swej mowie powitalnej podkreślił, jak ważne jest, aby „zakotwiczyć w sercach przezwyciężenie podziału Europy po upadku muru berlińskiego”. Niemieccy partnerzy traktowali naszą wymianę bardzo poważnie, władze miasta przyjmowały nas z honorami. Pani nadburmistrz Grieser powitała nas bardzo ciepło. Lokalna prasa i telewizja odnotowały nasz pobyt, zostaliśmy zaproszeni do studia i nakręcono krótką informację o naszej wymianie.

REWIZYTA NA MIECHOWSZCZYŹNIE

Nemieccy uczniowie przyjechali do nas w marcu 96 roku. Było znowu niesamowicie. „I doczekaliśmy się! Przez kilka miesięcy były listy i liczne plany, a właśnie w zeszłym tygodniu mieliśmy okazję je zrealizować (...) Wydawałoby się, że odmiennosc kulturowa i historia dzielą nasze narody, a jednak znaleźliśmy wśród siebie licznych przyjaciół, z którymi mimo zakończenia akcji szkolnej wymiany nadal pozostaniemy w stałym i bliskim kontakcie” – pisała Justyna Kwiatek, uczestniczka pierwszej wymiany.

Tak wyglądały pierwsze kontakty. Później powoli przychodziła rutyna, przyjeżdżaliśmy do siebie nawzajem jak do przyjaciół, bo i podczas tych lat zaprzyjaźniliśmy się bardzo.

W 1996 roku podczas naszego pobytu w Schweinfurcie Wisława Szymborska otrzymała Nagrodę Nobla, cała szkoła dowiedziała się o tym, gdyż dyr. Hackl ogłosił to przez megafony i pogratulował nam wspaniałej poetki. Było nam miło! W księgarniach niemieckich można było nabyć niemiecki przekład wierszy naszej noblistki. Przy okazji Niemcy wypytywali o naszych najwybitniejszych pisarzy, a Bernd Wölfel poprosił o wytypowanie kilku polskich utworów, które naszym zdaniem powinny znać Europejczycy.

ZBUDOWAĆ GRUPĘ

Wydawało mi się, że pierwsza wymiana zrobi tak dobrą reklamę, iż bez trudu zbierze się grupa do kolejnej. Jakże się myliłam: z trudem zebrałam grupę. Jednym słowem: kto chciał ten jechał! W pierwszej grupie nie znano języka angielskiego, więc na moje szczęście i według mojego planu, uczniowie mówili po niemiecku.

O ile pierwsza grupa z naszej strony była dobra językowo, o tyle druga w większości słaba, bo składała się z przypadkowych uczennic i uczniów, którzy w niewielkim stopniu znali jakikolwiek ję-

zyk obcy. Odwrotnie przedstawiała się sytuacja ze strony niemieckiej. W pierwszej ich grupie były osoby jakiegoś przypadkowe, nie robiące dobrego wrażenia, nieciekawe, natomiast w drugiej wyglądało na to, że zrobiono selekcję.

NIE WSZYSTKO JEST PROSTE

Podczas wymiany można przeżyć chwile kryzysu, zdarzają się różne sytuacje, które trzeba rozwiązać. Jak pomóc parze polsko-niemieckiej, gdy Niemka to dziewczyna ciekawa świata, a Polka odwrotnie – słaba znajomością jakiegokolwiek języka obcego, zainteresowania mocno ograniczone? Lub odwrotnie: polski chłopak poważny, nastawiony na poznanie choćby fragmentu Niemiec i niemiecka dziewczyna żadna sensacyjnych przeżyć? Co zrobić, gdy dowiadujemy się, iż uczennica zachwycała się ruchomymi schodami, nie chciała z nich zejść, tylko uważała za dowcipne jeździć nimi przez pół godziny, co skrzętnie zaobserwowali niemieccy przyjaciele. To trudne momenty dla nauczyciela. Próbowaliśmy dopasowywać uczniów, ale jakoś nie byliśmy w stanie do końca utrafić z zainteresowaniami, charakterami, inteligencją itp.

NIEMIECCY UCZNIOWIE O WYMIANIE

W gazecie niemieckich uczniów ukazał się napisany z humorem artykuł wspomnieniowy. Najpierw uczniowie przyznali się do totalnej niewiedzy na temat naszego kraju – „Wiedzieliśmy wprawdzie, że tam gdzieś na wschodzie jest kraj, który nazywa się Polska, i że tam z pewnością są ludzie, ale co więcej? Nie mieliśmy pojęcia!”. Potem oberwało się nauczycielom – „Naturalnie mieliśmy początkowo problemy z porozumieniem, gdyż wielu wprawdzie zna język angielski i niemiecki, ale nauczyciele nie są tak dobrzy jak nasi.” Powinam jeszcze podać, jaką ilością godzin języka obcego dysponują niemieccy nauczyciele, a jaką polscy. Na początkowym etapie nauczania mają bowiem 6 godzin tygodniowo, więc blado wypadają nasze 2 godziny. Niemieccy nauczyciele i uczniowie skarżyli się, że szkoła słabo wspiera wymianę. W szkolnej gazecie ktoś napisał: „Godne zauważenia byłoby, że wymiana była stresująca i większość była zadowolona, gdy wreszcie miała czas dla siebie. Szkoda tylko, że była tak mało wspierana:



foto. archiwum Autorki



wielu nauczycielkom i nauczycielom było obojętne, czy uczeń z powodu wymiany mógł się uczyć, czy też nie. Dlaczego właściwie niemieccy uczniowie nie mogli opuścić ani jednego dnia i jechać z gośćmi do Bambergu? Dlaczego, mimo obietnicy, musieliśmy pisać kartkówki i być oceniani? Dlaczego w końcu wyrzucano słabszym uczniom, że powinny raczej zadbać o swoje noty, a nie zajmować się jakimiś aktywnościami jak wymiana? Wymiana jest przedsięwzięciem szkolnym, w które uczestniczący inwestują czas, zaangażowanie i jest ona ważnym krokiem do porozumienia między narodami, odejściem od zimnej wojny. Najwyższym celem kształcenia nie jest osiągnięcie jedynie * z łaciny, lecz....”

I tu nastąpił cytat z konstytucji bawarskiej, artykuł 130, gdzie padały takie słowa: „(1) szkoły powinny nie tylko przekazywać wiedzę i umiejętności, lecz kształtować serce i charakter”. W punkcie 2 padały takie hasła jak: „najwyższym celem kształcenia jest szacunek dla przekonań religijnych i godności człowieka, odpowiedzialność, gotowość niesienia pomocy, otwartość na wszystko co prawdziwe, dobre i piękne, świadomość odpowiedzialności za naturę i otoczenie”. Punkt 3: „Uczniowie i uczennice są wychowywani w duchu demokracji, w miłości do bawarskiej ojczyzny i do niemieckiego ludu i w myśl pojednania narodów.” Na takie hasła powoływali się niemieccy uczniowie i tu widać było właśnie demokrację.

POLSCY UCZNIOWIE O WYMIANIE

Nasze uczennice napisały po przyjeździe: „Powitanie... Przydzielenie do rodzin.... Do zobaczenia w szkole za kilka godzin. I tak rozeszliśmy się do naszych tymczasowych, niemieckich rodziców, braci i sióstr. Minął strach i stres. Nie mieliśmy większych trudności ze zrozumieniem

ani konwersacją, więc zawarcie znajomości poszło gładko. Teraz mieliśmy okazję konfrontacji naszych wyobrażeń z rzeczywistością, a przy okazji obalenia kilku mitów związanych z wyglądem, jak i z cechami charakteru Niemców. (Nikt nie był rudy i błąd o niebieskich oczach z ostrymi rysami twarzy)” I również: „Najbardziej wzruszającą i niezapomnianą chwilą było pożegnanie, jakie zgotowali nam nasi niemieccy przyjaciele. Do dzisiaj mamy w pamięci obraz załzawionych twarzy, oświetlonych przez nikłe płomienie świec, trzymany przez drżące ręce naszych przyjaciół. Aż trudno uwierzyć, jak mocna więź może powstać między ludźmi w tak krótkim czasie. Z niecierpliwością oczekujemy ich przyjazdu do Miechowa.”

WDZIĘCZNOŚĆ

Potem następowały kolejne wymiany, kolejne mile chwile i rozwiązywanie kolejnych problemów. I chociaż ludzie się zmieniali, sprawy toczyły się podobnie. Ja poznawałam życie rodzinne Niemców, wgłębiałam się coraz bardziej w życie kulturalne Frankonii, wzbogacałam swoją wiedzę krajoznawczą. Za każdym pobycem bywaliśmy również u przyjaciół rodzin goszczących, zapraszali nas inni nauczyciele do swoich domów. Opiekun naszej wymiany Bernd Wölfel stwarzał różne możliwości poznania Niemiec, organizował spotkania, wyszukiwał ciekawe wystawy sztuki, wernisaże, bywaliśmy na koncertach i w teatrze. Szczerze jestem mu wdzięczna za te wszystkie lata współpracy i zaangażowania w wymianę, dzięki którym lepiej, a przede wszystkim inaczej, poznaliśmy – ja i moi uczniowie – Niemcy. Wdzięczna też jestem mojej rodzinie za wsparcie i pomoc, za wskazanie dobrego rozwiązania problemów - mojemu mężowi Arturowi i mojej Mamie. Dziękuję pani Barbarze Zaiach i panu Andrzejowi Śliwińskiemu za pomoc w przeprowadzaniu kolejnych wymian aż po dziś dzień. Nie byłoby tej wymiany, gdyby dyrektor naszego LO, pan Żabiński, nie zezwolił mi na działanie, wyrażając tym samym zaufanie do mnie. Nie byłoby jej wreszcie bez organizowania przez Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży odpowiednich seminariów i wsparcia finansowego, dzięki któremu zachęta do wymiany jest większa. Dziękuję też panu dr Łysakowskiemu, dyrektorowi Polsko-Niemieckiej Współpracy Młodzieży, za poważne traktowanie i podtrzymywanie na duchu nauczycieli, którzy mają dobrą wolę zrobienia czegoś dla swoich uczniów. ■

Powstała dość skromna strona o wymianie Miechów -Schweinfurt, zapraszamy: <http://www.wymiana-ms.w.pl>

Urszula Zalańska-Curyło
jest germanistką w Liceum
Ogólnokształcącym
w Miechowie.

Dobra wiadomość...

■ Paulina Paczuska

„Moje serce obawia się cierpień. Powiedz mu, że strach przed cierpieniem jest straszniejszy niż samo cierpienie. I żadne serce nie cierpiało nigdy, gdy sięgało po swoje marzenia, bo każda chwila poszukiwań jest chwilą spotkania z Bogiem i Wiecznością.”

Paulo Coelho

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA została wychowana w rodzinie ateistycznej. Prawdy szukała w filozofii buddyjskiej, nawet marksistowskiej. Pewnego dnia postanowiła wejść na drogę wytyczoną przez Ewangelię i na tej drodze pozostała na zawsze. Postanowiła poświęcić się ludziom ubogim. Wyprowadziła się z domu. W 1989 r. zetknęła się z katolicką wspólnotą „Chleb Życia”, którą założyli we Francji dwaj mężczyźni: jeden z nich to był narkoman, a drugi - anarchista, parający się wcześniej nawet podkładaniem bomb. Założona przez nich wspólnota prowadzi obecnie domy dla bezdomnych w kilkudziesięciu krajach świata. Główną jej zasadą jest to, że członkowie żyją razem z ludźmi bezdomnymi na tych samych zasadach i w tych samych warunkach.

W Warszawie Wspólnota prowadzi cztery domy, a obok Opatowa trzy inne. Jeden z nich prowadzony jest przez siostrę Chmielewską. Sytuacja finansowa tych domów jest bardzo trudna. Prowadzący je muszą borykać się z wieloma problemami (nie tylko natury finansowej). Ja jednak nie mam zamiaru opisywać owych trudności i przeszkód. Chcę opowiedzieć o dwóch wydarzeniach, podzielić się doświadczeniami i wiadomościami.

Dziesięć lat temu siostra Chmielewska znalazła w melinie trzyletniego chłopczyka. Leżał w łóżku z nieprzytomnym od alkoholu pijakiem. Chłopiec nic nie mówił, tylko pisał. W domu prowadzonym przez siostrę Małgorzatę znajdowało się wówczas kilkudziesięciu bezdomnych - nie chciała jednak zostawić chłopca w takich warunkach. W zasadzie wybrał sam Artur - przytulił się do niej i tak został. Jest to dziecko z poważnym uszkodzeniem mózgowym, ale dopiero on nauczył ją kochać - tak naprawdę i głęboko. Wytrącił ją z tego, co pomału stawało się jedynie „działaniem”. Siostra Chmielewska postanowiła otrzymać prawo opieki nad Arturem i udało się. Wiadomość o tym była najszczęśliwszą w życiu jej i małego chłopca. Dziś siostra spełnia swoje powołanie macierzyńskie tak jak matka biolo-

giczna. Dziś uczą się wzajemnie miłości. I to taki mały cud...

Niejednego cudu mogła doświadczyć siostra Chmielewska. Pewnego jesiennego wieczoru przyszły przenocować w ośrodku bezdomne kobiety z dworca. Rano po ich odejściu okazało się, że pozostawiły wszy ubraniowe. Środki dezynfekcyjne niestety nie pomogły. Wszyscy byli przerażeni, ponieważ oznaczało to spalenie ubrań, łóżek - w zasadzie rozwiązanie ośrodka, który nie podźwignąłby takiego wyzwania finansowego, jak zakup nowej odzieży i mebli. Zrozpaczona siostra Chmielewska zeszła do kaplicy, tam szukając jakiegoś ratunku. „To Twoi ludzie, Jezu - powiedziała - Chcesz, żeby nocowali na ulicy, głodowali? Proszę bardzo. Ja nie mogę już nic zrobić. Jeśli do 12.00 wszy nie znikną, będę musiała wszystkich spalić, a ich po prostu wyrzucić.”

Obchód o godzinie 11.55 wykazał, że wszy nadal panoszą się w ośrodku. Punktualnie o 12.00 zniknęły...

Niektórzy boją się mówić o tym wydarzeniu. Nie chcą być wyśmiani, niezrozumiani. Telewizja, emitując film o siostrze Chmielewskiej, wycięła niewygodny fragment. Co ludzie powiedzą? Przecież nie uwierzą. A ateści?

Główną zasadą wspólnoty „Chleb życia” jest to, że członkowie żyją razem z ludźmi bezdomnymi na tych samych zasadach i w tych samych warunkach.

A ja na przekór wszystkiemu chcę pisać o tym i nazywać cudem! Uważam jednak, że rozpatrywanie tego jedynie w kategoriach wiary wyznawanej przez siostrę Chmielewską czy mnie, byłoby błędem.

Mam dla Was dobrą wiadomość. Wszyscy Ludzie Świata - wierzący i niewierzący: zdarzył się cud, bo ktoś kochał i pragnął. Siła ukryta jest w ludzkich sercach - jeśli czegoś pragniemy, może zdarzyć się cud. A jeśli wątpicie - zapytajcie siostry Chmielewskiej... ■

Punktualnie o godzinie 12.00 wszy zniknęły. I to była bardzo dobra wiadomość. Oznaczała bowiem, że nie trzeba będzie zamykać ośrodka, a bezdomni nie zostaną wyrzuceni na ulicę...

Paulina Paczuska jest absolwentką Prywatnego Liceum Ogólnokształcącego im. Królowej Jadwigi w Lublinie, studentką I roku prawa UMCS.

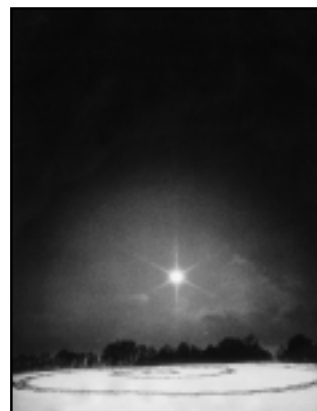


Waldemar Fiedorowicz

KROPLE SŁOŃCA

*Nie mogę cię zobaczyć
Nie mogę cię słyszeć
Nie mogę cię dotknąć
A Jesteś.*

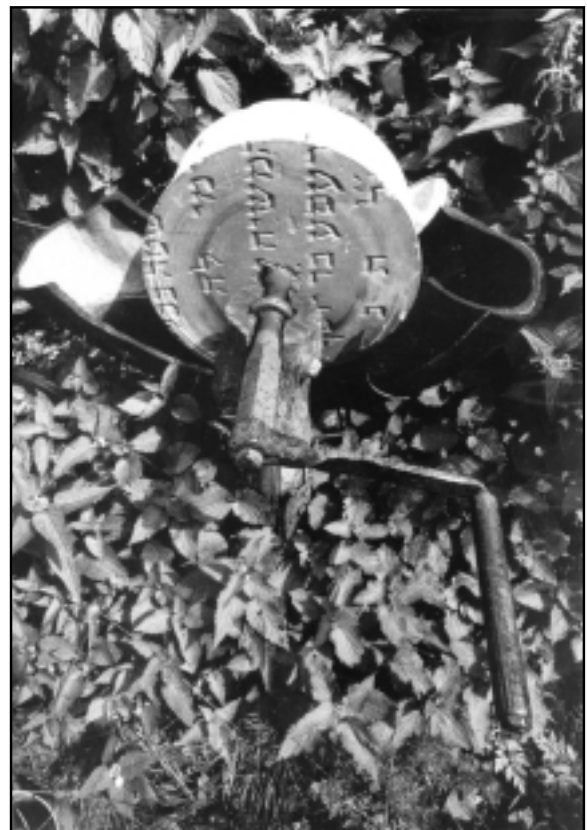
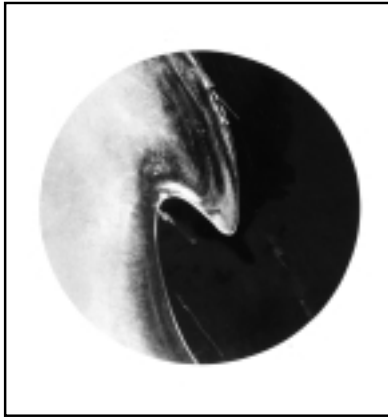
FOTOGRAFIA HAIKU



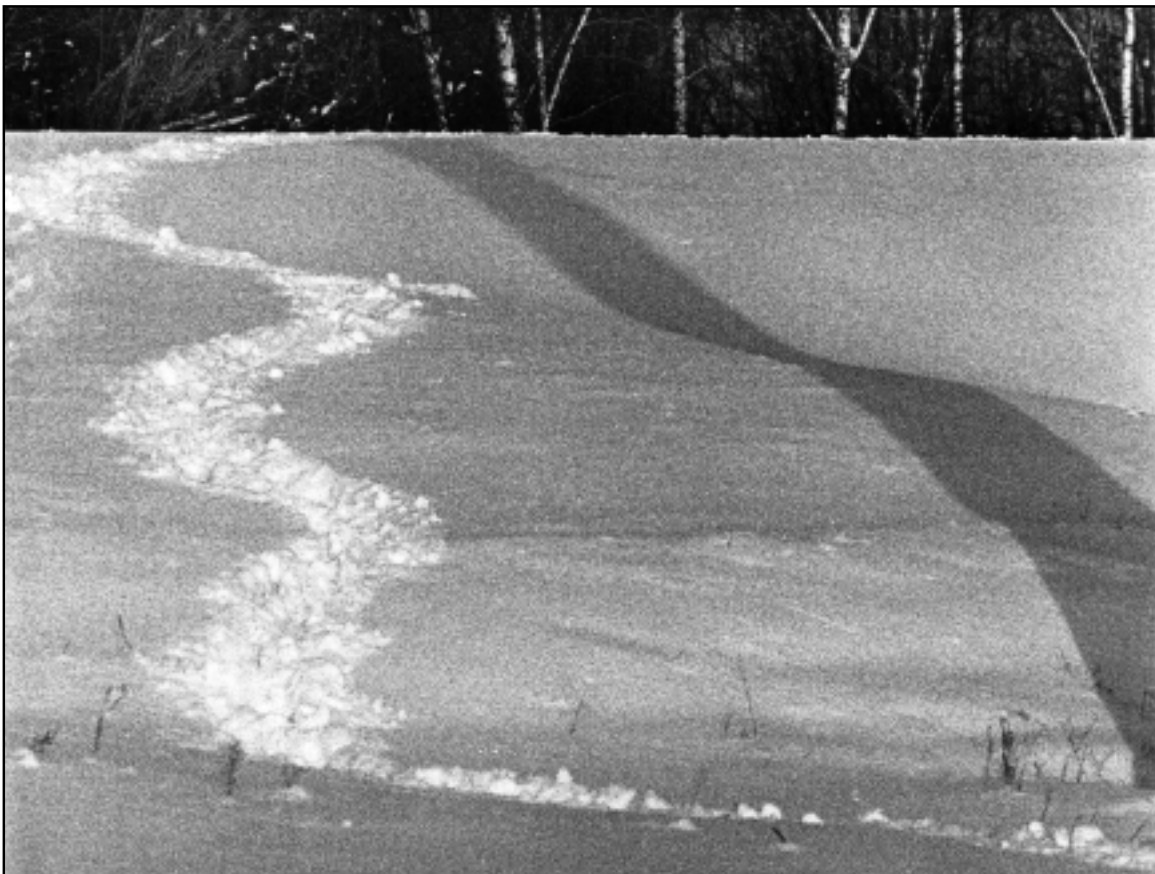
*Zapatrzyłem się w dal...
Patrzę pod nogi
Widzę ją po raz pierwszy
Tę samą drogę.*

MYŚLENIE OBRAZEM





ZADZIWIENIE-OLŚNIENIE-NIEMYŚLENIE



Haiku i fotografie Waldemara Frąckiewicza pochodzą z albumu „Krople Słońca” i stron internetowych Autora. <http://sokrates.umcs.lublin.pl/~frawe>

Joanna Zajęc

Futurystyczna teraźniejszość (II)

Zmiany najlepiej rozpocząć od zniesienia ram, które pozwalają nazwać wydarzenie artystyczne tradycyjnym przedstawieniem teatralnym. Tak też uczynili futurysty, nadając swoim scenicznym pokazom miano wieczorów futurystycznych (*serate futuriste*). Warto zauważyć, że w tym geście odrzucenia przejawiała się pewna generalna strategia, zgodnie z którą awangarda tamtych lat (zwłaszcza futurysty) nie przeciwstawiała się konkretnym konwencjom teatralnym rozumianym jako wybrane sposoby inscenizowania dramatu, lecz nieporównanie szerzej – negocjowała teatr jako konwencję artystycznej ekspresji opartą na pewnych stałych elementach. Innymi słowy, awangardysty nie występowali przeciwko konwencjom teatralnym, lecz raczej przeciw konwencji teatru.

ZGODNIE Z TYM kierunkiem postępowania, już podczas pierwszego pokazu scenicznego zorganizowanego przez futurystów, została złamana niepisana zasada, że każde przedstawienie teatralne ma swój wyjątkowy – nie do powtórzenia – charakter. Premierowemu wystąpieniu w Trieście (w 1910 roku) towarzyszyły bowiem równoczesne pokazy teatralne w innych miastach północnych Włoch. Z czasem ten symultanimizm działań stał się niemal zasadą. W ten sposób uzyskiwano dodatkową dynamiczność tak rozbudowanej w geograficznej przestrzeni formy. Zdaje się również, że futurysty widzieli w tej jednoczesności działań urzeczywistnienie swoich planów o „totalnym uderzeniu ideologicznym” - zmasowanym ataku przeprowadzanym w tym samym czasie na różnych odcinkach frontu. Bez wątplenia walka toczona w tak globalnym wymiarze mogła przynieść większe efekty.

Symultanimizm działań stanowił także podstawową cechę wewnętrznej struktury przedstawień. Marinetti podał (w swojej syntezie o znamienym tytule *Symultanimizm - Simultaneità*, 1915) modelowy sposób urzeczywistnienia idei symultanimizmu na scenie, gdzie powinny pojawić się „dwa pomieszczenia, które będą wypełnione różnymi liniami czasowymi, które ułożą się w symultaniczną akcję.” W istocie rzeczy włoski artysta stworzył tutaj ekstremalnie abstrakcyjny obraz scenicznych działań. Ten rodzaj wyobraźni bardziej przystaje do wizji plastycznych niż teatralnych. Wyraźnie jednak zaznacza się w tym opisie kierunek ewolucji dramatu i teatru, która współcześnie doprowadziła do redukcji znaczeń na rzecz abstrakcyjnych wizji. Oczywiście, wiąże się to w sposób niemal bezpośredni z XX-wieczną tendencją do tworzenia dzieł – dramatycznych, teatralnych – w kontekście interdyscyplinarnych działań. (Istniał zresztą specjalny rodzaj futurystycznych dramatów – tzw. *dramaty chromatyczne - drammi cromatici* – stworzonych przez malarzy i opartych na czysto plastycznych wizjach.) Niewątpliwie futurysty – jeden z pierwszych prądów artystycznych, które rozwijały się równocze-

śnie w przestrzeni różnych dyscyplin sztuki – stał się istotną zapowiedzią wpływów, jakie wywarły plastyka i muzyka na dramaturgię nam współczesną.

Przez symultanimizm działań i ich multiplikację futurysty starali się podkreślić także podobieństwo oraz powtarzalność teatralnej formy. Każdy z wieczorów miał bowiem bardzo podobną strukturę. Składała się ona zazwyczaj z krótkich sekwencji scenicznych – w dużej mierze improwizowanych – opartych na materiale o bardzo rozmaitej proveniencji. W jakimś sensie więc, cechą wieczorów futurystycznych było wzajemne podobieństwo a nie odmiennosc, która przecież stanowi jedną z cech charakterystycznych dla formy przedstawienia teatralnego.

Struktura futurystycznych wieczorów została oparta na dwóch elementach – aktorze i widzu – których obecność w zasadzie wystarcza do określenia danego wydarzenia w kategoriach konwencji teatru. Sceniczny przekaz odbywał się niemal zawsze za pośrednictwem wykonawcy i skierowany był do publiczności. Ale aktor nie pełnił funkcji najważniejszego komponentu wieczoru. Przypisano ją tutaj kolorowi i formie, czyli elementom konstytuującym wizualną stronę przedstawienia. Już w tym przewartościowaniu widoczna była postawa, jaką przyjęli futurysty wobec fenomenu aktora. Najchętniej widzieli go bowiem w postaci całkowicie uprzedmiotowionej, na przykład jako marionetkę czy wręcz jako przedmiot. W tym sposobie traktowania scenicznego wykonawcy dostrzec można pewną inspirację ideami Gordona Graiga, który zresztą chętnie drukował manifesty futurystów na łamach swojego czasopisma „The Mask”, czy też Meyerholdowską biomechaniką. Zapewne można by tu również wytropić pewne pokrewieństwo z elementami baletu mechanicznego spod znaku Bauhausu. Trzeba jednak zdecydowanie podkreślić, że dążenie futurystów do tego, by uprzedmiotowić aktora, było z ich strony tyleż deprecjacją – wobec teatralnej tradycji, co – jeśli weźmie się pod uwagę uprawianą przez Marinettiego gloryfikację rzeczy martwych – apoteozą wykonawcy. Tak czy owak, w futurystycznym teatrze raczej nie uległa

zmianie funkcja aktora, który nadal przyjmował na siebie konkretną rolę i spełniał funkcję swoistego rodzaju medium. Przeobrażeniu uległy jednak proporcje wewnątrz teatralnej prezentacji. Niejednokrotnie bowiem martwe przedmioty stawały się na scenie ważniejsze niż wykonawca, który je animował.

W teatrze futurystycznym dokonano się jednak pewne istotne przewartościowanie pozycji przypisanej aktorowi. Ale doszło do niego nie tyle w obrębie scenicznej przestrzeni, co raczej na terytorium widowni, które zazwyczaj zostaje – w sensie konkretnych teatralnych działań – neutralne. Aktorzy rekrutowali się tutaj tylko i wyłącznie z członków grupy Marinettiego. To oni odgrywali wszystkie role – także samych siebie, czyli po prostu artystów awangardowych, którzy traktują scenę, jak trybunę do bezpośredniego głoszenia swoich poglądów. Rzecz jasna, tego rodzaju sceniczne prezentacje były bardzo rozpowszechnioną praktyką wśród całej teatralnej awangardy tamtego czasu. Jednak futuryści przejawiali szczególnie zapał i pomysłowość w próbach nawiązania bezpośrednio dialogu z publicznością. Co ciekawe, chodziło im przede wszystkim o wręcz fizyczny kontakt z widzami. Głębsze uzasadnienie dla tego rodzaju praktyk można znaleźć w pojęciu *fisicofollia*. Było to coś w rodzaju „fizycznego obłądzenia”, który futuryści zaproponowali w miejsce tradycyjnie rozumianych relacji psychologicznych, jakie nawiązują się między scenicznymi bohaterami. „Fizyczny obłądzenie”, czyli – jak wolno przypuszczać – niekontrolowane zachowania natury czysto fizycznej, miał być stymulowany tylko przez intuicję lub instynkt (słychać tu wyraźny pogłos Bergsonowskich koncepcji).

Fizyczny kontakt z publicznością przybierał niejednokrotnie formę agresywnego ataku. Niemile niespodzianki czekały widzów jeszcze przed rozpoczęciem wieczornej prezentacji, kiedy okazało się, że na jedno miejsce zostało sprzedanych kilka biletów. Zarzewiem ostrego konfliktu była też powtarzana często przez futurystów i wielce niestosowna praktyka szczypania kobiet wchodzących na widownię. Podczas wieczornego pokazu artyści już bez żadnych hamulców zawierzali własnej inwencji i żywiołowi improwizacji, odpowiadając fajerwerkami pomysłów na najmniejszy impuls, który, zdarzało się, przychodził także ze strony widowni. Granica teatralnej ramy była więc przekraczana niejako „w obie strony” – przez wykonawców i przez publiczność. Rzecz jasna, nie każdy widz miał ochotę uczestniczyć w tak

specyficzny sposób zaaranżowanym wydarzeniu teatralnym. Nie miał on jednak możliwości opuszczenia sali przed zakończeniem pokazu, ponieważ przezorni organizatorzy pokrywali siedzenia foteli szybko schnącym klejem...

Ostatecznym efektem tych działań – skierowanych do publiczności i wymierzonych w publiczność – stało się rozbitcie tradycyjnej konwencji teatru, która zakłada, że widz pozostaje niemy świadkiem przedstawienia. Fizycznie zasiada więc na widowni, ale z punktu widzenia świata przedstawionego jest po prostu nieobecny. Futuryści nie tylko dostrzegli publiczność z perspektywy sceny i próbowali pobudzić ją do współdziałania z aktorami, ale przede wszystkim nadali jej status właściwego bohatera teatralnego wydarzenia.



rys. Przemysław Tytus Krupski

Podczas wieczornego pokazu artyści bez żadnych hamulców zawierzali własnej inwencji i żywiołowi improwizacji, odpowiadając fajerwerkami pomysłów na najmniejszy impuls, który, zdarzało się, przychodził także ze strony widowni.

Ta absolutna koncentracja na widzu była zresztą charakterystyczna dla całej ówczesnej awangardy, zaś pytanie – „jak dotrzeć do publiczności?” stało się rzeczywistym problemem. Z jednej strony bowiem futuryści czy dadaści negowali przyzwyczajenia i upodobania mieszczańskich widzów, ale z drugiej – występowali nie tylko wobec nich, ale w jakimś sensie

również dla nich. Sytuację zaostrzał jeszcze fakt, że awangarda odrzucała jakikolwiek kompromis wobec publiczności, co zresztą – nieco paradoksalnie – zbliżało ją do symbolistów. Bez wątplenia jednak, futuryści i pod tym względem byli najbardziej nieprzejednani ze wszystkich awangardystów. W swoich dwóch manifestach – *Manifesto dei drammaturghi futuristi* (*Manifest dramaturgów futurystycznych*, 1911) oraz w *La voluttà d'esser fischiati* (*Pragnienie bycia wygwizdany*, 1911) – jasno określili cel działań scenicznych: deprecjacja publiczności. Prawdziwy artysta powinien się brzydzić „bezpośrednim sukcesem”. W rzeczywistości bowiem tylko absolutną klęskę w oczach zachowawczej

Nie każdy widz miał ochotę uczestniczyć w tak specyficzny sposób zaaranżowanym wydarzeniu teatralnym. Nie miał on jednak możliwości opuszczenia sali przed zakończeniem pokazu, ponieważ przezorni organizatorzy pokrywali siedzenia foteli szybko schnącym klejem...

publiczności można uznać za autentyczne zwycięstwo nowej sztuki.

Przyjęcie takiej postawy dawało futurystom swobodę w wyborze poetyki scenicznych prezentacji, która odpowiadała ich wizji świata. Fragmentaryczny, zdeintegrowany, wewnętrznie rozbity – to słowa-klucze, za pomocą których Marinetti określał (w swoim manifestie *Teatro di Varieta - Teatr Variete*, 1913) charakter tworzonego przez siebie teatru. Sposobem na praktyczne urzeczywistnienie takich założeń miało stać się oparcie struktury teatralnej prezentacji na elemencie niespodzianki, której multiplikacja powinna rodzić wciąż nowy efekt zaskoczenia. Oczywiście, łatwo znaleźć w sztuce scenicznej czy raczej na jej obrzeżach gatunki, z których futuryści czerpali inspirację do tworzenia swojego „teatru różnorodności”. Sami zresztą wskazywali na te źródła, wymieniając chociażby variété, kabaret czy popisy cyrkowe. Oczywiście są również zapożyczenia z filmu, zwłaszcza z technik montażowych. Z kolei przyjęcie perspektywy współczesnej pozwala znaleźć kontynuację futurystycznych prezentacji, w których wykorzystywano element niespodzianki. Bez wątplenia bowiem cały nurt związany z aleatoryzmem, czyli wprowadzeniem do sztuki pierwiastek przypadkowości, sięga swoimi korzeniami właśnie włoskiego futuryzmu.

Wydaje się jednak, że futuryści odegrali zdecydowanie bardziej istotną rolę w historii dramatu i teatru, tworząc koncepcję tzw. *teatro sintetico* – *teatru syntetycznego*. W ogłoszonym w 1915 roku manifestie – *Teatro futurista sintetico* (*Futurystyczny teatr syntetyczny*) – opowiedzieli się za teatrem syntezy rozumianej przede wszystkim jako kondensacja formy i treści (późniejszą odmianą tego teatru są poniekąd krótkie etiudy sceniczne Becketta). W przypadku futurystycznych dramatów taka skondensowana poetyka teatralnych działań miała oddawać tempo i charakter cywilizacyjnego rozwoju. Czasem jednak owa kondensacja pełniła rolę czysto funkcjonalną i służyła jako metoda wspomnianej już deprecjacji tradycji teatralnej, lekceważąc przy okazji wszelkie relacje syntagmatyczne (Marinetti proponował na przykład wystawienie w formie 10-minutowego skrótu wybranych dzieł wielkich klasyków dramaturgii europejskiej). Co jednak niezwykle istotne, ta koncepcja nie tylko miała wymiar teoretycznego wywodu czy teatralnej praktyki, ale także znalazła swój odrębny wyraz w oryginalnej formie dramatycznej – w tzw. *syntezach*, z których zapewne najbardziej znane w Polsce są *Poupées électriques* Marinettiego (*Elektryczne lalki*, 1909).

Futuryści określali mianem *syntezy* (*sintesi*) krótki utwór dramatyczny wypełniony sekwencją sytuacyjną. Z pewną dozą ostrożności, wynikającej z odmienności treści wpisanych w futurystyczne *syntezy*, można powiedzieć, iż pełniły one rolę swoistego rodzaju „pocztówek scenicznych” o wyrazistym, aczkolwiek niejednoznacznym przesłaniu ideologicznym. Futuryści posiadali bowiem naprawdę dużą zdolność metaforycznego ujmowania tych zagadnień. Owa metaforyzacja połączona właśnie z umiejętnością kondensacji – zarówno w sferze treści, jak i formy – przynosiła zadziwiające rezultaty. Odważne rozwiązania stosowane przez futurystów okazały się w dużej mierze eksperymentalne i to w całym – wieloaspektowym – znaczeniu tego słowa. Krótki bowiem był ich żywot, zarówno na scenie, jak i w pamięci krytyków. Taka właśnie jest natura eksperymentu: trwa on tyle czasu, ile potrzeba na przeprowadzenie doświadczenia. Jednak z drugiej strony, futurystyczne *syntezy* były na tyle oryginalne czy wręcz nowatorskie, że wyznaczyły, a przynajmniej zaznaczyły nowy kierunek ewolucji dramatu i teatru.

Przekonuje o tym w pełni lektura jednej z pierwszych *syntez*, które wyszły spod pióra samego Marinettiego – *Vengono* (*Nadchodzą*, 1914). Głównymi bohaterami utworu są przedmioty: 8 krzeseł i 1 fotel. Na scenie pojawiają się jednak także

ludzkie postacie – Majordomus i dwóch służących – które animują całą akcję sceniczną. Co pewien czas, niemal rytmicznie, lokaj podaje na głos wiadomości o istniejących, lecz niewidzialnych dla nas postaciach. Najpierw otrzymujemy informację, że powoli zbliżają się one, potem – że już znajdują się w przestrzeni sceny, że są bardzo zmęczone, że chcą zasiąść do stołu. Tym słowem Majordomusa towarzyszą wydawane przez niego polecenia, które wypełniają w pośpiechu pozostali służący. Kilkakrotnie przemieszczają oni stojące na scenie przedmioty, układając z nich różne konfiguracje. W ostatniej sekwencji ustawiają – zgodnie ze wskazówkami Majordomusa – krzesła i fotel w takim szyku, w jakim znajdowały się one na samym początku utworu. Wówczas światła gasną, a „niewidzialny reflektor projektuje na podłogę sceny cienie fotela i krzesel. Światło reflektora powoli się przesuwa. Cienie stają się coraz bardziej wyraziste. Wydłużają się i jakby przemieszczają w stronę okna. Służący, którzy przycupnęli w kącie, czekają prerażeni. Widać w ich oczach strach, że cienie zaraz wyjdą z sali. KURTYNA.”

W tej krótkiej, ale na scenie zapewne przejmującej syntezie, zostaje wizualnie zobrazowany fetysz, z jakim futuryści traktowali przedmioty. Oglądamy zatem coś w rodzaju stopniowej personifikacji martwych rzeczy, by na koniec stać się świadkami – dzięki sugestii stworzonej przez teatralny reflektor – ich całkowitego „ożywienia”. Rzecz jasna, ta synteza ma nieco dwuznaczny wydźwięk, bo z jednej strony propaguje rodzaj kultu przedmiotów, ale z drugiej pokazuje jego zgubne, a przynajmniej demoniczne skutki. Ostatecznie bowiem Marinetti skonstruował rzeczywistość, w której panuje swoistego rodzaju terror martwych przedmiotów.

Podczas lektury tej zgrabnie pomyślonej *syntezy* nie można oprzeć się wrażeniu, że stanowi ona swoistego rodzaju preludium do *Krzesel* Ionesco. Spójrzmy na podobieństwa: przedmioty, które zostały przeniknięte duchem siedzących na nich ludzi; żywe postacie, które animują martwą przestrzeń rzeczy; światło reflektorów, które powinno podpowiadać wyobraźni widzów charakter nie istniejących fizycznie obrazów; atmosfera irracjonalnego niepokoju i jakiś egzystencjalny znak zapytania, który zawisł nad tym na poły sennym, na poły realnym światem. Może tylko kontekst interpretacyjny jest nieco inny. Dramat Ioneski otwiera się bowiem na szeroką, niemal eschatologiczną przestrzeń. U Marinettiego zaś ta perspektywa znacznie się zawęża. Wyznacza ją (ogranicza!) fakt, że utwór pełni rolę sceniczną egzemplifikacji ideologicznych założeń fu-

turyzmu. Istota *syntezy* – jako pewnego gatunku dramatycznego – leżała bowiem w tym, że zawsze była ona rozwinięciem wyraźnie określonej tezy; była ilustracją pewnych ogólnych założeń ideowych przyjętych przez futurystów. Jednak ostatnia kwestia, która pada w *Vengono*, brzmi tak, jakby rzeczywiście napisał ją kilkadziesiąt lat później sam Ionesco. Majordomus wypowiada zupełnie alogiczny zlepek sylab: „Briccatirakamikamf”, a to słowo (?) odbija się echem chociażby w wystąpieniu Mówcy z *Krzesel* czy w agonialnej fazie rozmowy toczonej przez Państwa Smithów i Państwa Martinów w *Łysej śpiewaczce*.

Zacytowany passus z utworu Marinettiego nie jest jedynym fragmentem z futurystycznych *syntez*, który mógłby zostać przytoczony jako zapowiedź dialogu czy raczej anty-dialogu charakterystycznego dla dramaturgii nam współczesnej. Można wskazać na inne analogie. Kondensacja treści i formy, podstawowa dla twórczości futurystów, jest charakterystyczna dla sztuk pisanych już w naszych czasach. A martwe przedmioty w roli postaci scenicznych? Przecież to niemal „ekstremalna wersja” współczesnego bohatera (anty-bohatera!) pozbawionego tożsamości i osobowości, niemal anonimowego, przypominającego marionetkę, której mechanizm działa za sprawą manipulacji przeprowadzanej przez zewnętrzne siły. Natomiast sposób, w jaki futuryści traktowali publiczność, stał się zapowiedzią multiplikacji struktur w nowoczesnym metateatrze. Przykłady można mnożyć, a podobieństwa znajdować na różnych poziomach struktury futurystycznych *syntez* i współczesnych dramatów. Tym bardziej, że teatr futurystyczny miał być zarazem:

futurystyczny groteskowy i ekscentryczny
absurdalny
okultystyczny i magiczny
abstrakcyjny
filmowy i wizyjny
ideologiczny i polemiczny
futuro-ekspresjonistyczny.

Zatem jego formuła była na tyle pojemna, że znalazła się w niej zapowiedź i tej linii rozwoju, u źródeł której znajdują się koncepcje Antonina Artauda, i tych przeobrażeń w sztuce scenicznego, którym początek dał Bertolt Brecht. W jakimś sensie zatem wizja dramatu i teatru, którą Marinetti określał przezornie jako *futurystyczną* (choć miał przekonanie, że była ona faktem już na początku XX wieku!) stała się wizją nam współczesną. To jeszcze jeden z wielu przykładów na to, jak szybko i w sztuce, i w życiu terażniejszość staje się przeszłością, a przyszłość terażniejszością. ■

Joanna Zajac
jest doktorem nauk humanistycznych, wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim, autorką wielu tekstów eseistycznych na temat teatru, muzyki oraz interdyscyplinarnych dziedzin sztuki, a także monografii poświęconej dramaturgii Bogusława Schaeffera.

Wojciech Baluch ■

Protest

jako

widowisko

Kiedy w roku 1980 polskie władze zgodziły się na powstanie niezależnego związku zawodowego Solidarność, wśród powszechnej euforii niewiele osób zdawało sobie sprawę ze znaczenia tego faktu. Po raz pierwszy państwo obywateli do niezależnego wyrażania swoich opinii, krytyki czy potrzeb, także w formie protestu. Tym samym w systemie totalitarnym pojawił się całkowicie obcy mechanizm - kluczowy dla obywatelskiej aktywności demokratycznych społeczeństw Zachodu, zupełnie jednak nie do pogodzenia z systemem centralnego sterowania wszelkimi przejawami życia społecznego.

HISTORIA szybko potwierdziła brak możliwości egzystowania demokratycznego prawa do protestu w państwie totalitarnym. Najpierw polski rząd odebrał społeczeństwu przyznane wcześniej prawa do niezależnego wyrażania opinii, wprowadzając w grudniu 1981 stan wojenny. Potem - w osiem lat później - ciśnienie społecznej krytyki, wyrażane między innymi w protestach, rozsądziło system totalitarny, otwierając drogę do ukonstytuowania się państwa demokratycznego, wraz z jednym z jego fundamentalnych praw - prawem do protestu.

Demokracja, akceptując zdecydowane wystąpienia polityczne, a nawet gwałtowne metody wyrażania krytyki, nie rozwiązuje w sposób ostateczny problemu, który tkwi już w samym sformułowaniu „prawo do protestu”. Wszelkie przywileje określają bowiem reguły korzystania z nich. Natomiast protest, w celu zaistnienia, zmierza w kierunku naruszenia istniejącego porządku. Ponieważ jednak w państwie demokratycznym społeczeństwo posiada prawo do wyrażania swojego niezadowolonia, władze godzą się na czasowe zawieszenie niektórych przepisów – np. umożliwiając protestującym przejście ruchliwymi ulicami miasta, nawet kosztem zakłóceń w ruchu ulicznym. Tyle, że w kulturze pluralistycznej państwo nie ma już monopolu na określanie zasad społecznego współżycia. Każde wystąpienie i demonstracja poddawane są ocenie pozostałych grup i jednostek społeczności demokratycznej, tworząc tym samym dialog wykraczający poza dwubiegunowy układ rząd – opozycja. Dialog, którego złożoność zmusza do refleksji nad kulturowymi uwarunkowaniami protestu, gdyż samo przyzwolenie nie oznacza jeszcze zrozumienia, bez którego trudno mówić o tworzeniu jakiegokolwiek wspólnoty.

Różnorodność form protestu jest faktem łatwo obserwowalnym i właśnie te zewnętrzne przejawy społecznej aktywności będą stanowiły przedmiot dalszej refleksji. Obok wyboru - na przykład - pomiędzy strajkiem włoskim i okupacyjnym, niezwykle ważną rolę odgrywa swego rodzaju te-

atrakcja podejmowanych działań, która w ogromnej części ujawnia cele i idee protestujących. Dlatego warto przyrzeć się kilku przykładom takich „widowisk”, aby uzmysłowić sobie, co kryje się za taką a nie inną formą wystąpienia politycznego.

Polska, jak żaden chyba inny kraj „dawnego bloku”, posiadała niezwykle zróżnicowaną opozycję. Niezależnie jednak od wewnętrznych starć i konfliktów, demonstracje antyrządowe z lat osiemdziesiątych prezentowały niezmiennie ten sam obraz. Protesty uliczne przyjmowały najczęściej formę pochodów, podczas których, wśród polskich flag i narodowych symboli, śpiewano podniosłe pieśni. W kościołach modlono się za ojczyznę i organizowano otwarte wykłady. Prasa podziemna drukowała ulotki, ale także wartościową literaturę, zabronioną lub lekceważoną przez oficjalne władze. Nietrudno wskazać w polskiej historii na tradycje, które nadały kształt walce polskiego społeczeństwa z systemem totalitarnym. Obok perspektywy historycznej ważna jest jednak także rola, jaką opozycji przydawały podejmowane przez nią działania. Poprzez przywołanie symboli narodowych oraz autorytetu kościoła i polskiej tradycji intelektualnej, polska opozycja podważała „jedynie słuszną drogę socjalizmu”, wskazując na prawdziwe źródła wartości narodowych.

Rzecz jasna, działania skierowane przeciw władzy nie ograniczały się jedynie do wzniosłych wystąpień. Nieco weselszy wymiar walki z systemem totalitarnym ujawniał się w zabawnych piosenkach i graffiti na murach, jak choćby to z Krakowa „Program Partii Programem Narodu”, które stanowiło ironiczną parafrazę oficjalnego hasła „Program Partii Programem Narodu”. Mimo prężnie rozwijającego się nurtu graffiti politycznego, wszystkich zaskoczyły jednak obrazki krasnoludków, które powstawały najczęściej z zamalowanych wcześniej przez policję hasel, poprzez dodanie do tych bezładnych plam, krasnali, czapek, nówek i rączek. Część policji uważała, że jest to rodzaj szyfru, zachodni reporterzy brali to za prace dzieci Solidarności, zaś przechodnie za ironiczne nawiązanie do podziemia. Tak czy inaczej nie-

wielkie ludki wprowadziły spore zamieszanie w pojmowaniu PRL-owskiej rzeczywistości, dotąd jednoznacznie zdeterminowanego przez układ rząd – opozycja.

W rzeczywistości były one dziełem nowego ruchu społecznego, który narodził się we Wrocławiu i stanowiły jedynie zapowiedź znacznie większych niespodzianek.

Krasnoludki na ścianach wymyśliła Pomarańczowa Alternatywa, środowisko wrocławskie, które zainicjowało w tym mieście całą serię happeningów politycznych o niebywałej wręcz teatralności. Najbardziej znaną akcją Pomarańczowej Alternatywy były obchody Rewolucji Rosyjskiej zorganizowane 6 listopada 1987 roku. Imprezę zapowiadały ulotki, które rozpoczynały się od tradycyjnego zwrotu do towarzyszy i wzywały masy społeczne do odrzucenia pasywnej postawy. Organizatorzy wzywali także do przyjsia na obchody w czerwonych butach, czapkach, szalikach, sugerowali pomalowanie paznokci na czerwono, a w ostateczności - gdyby ktoś nie posiadał wymienionych rekwizytów - zalecały zakup bagietki z czerwonym keczupem. „Rewolucja” na ulicy Świdnickiej we Wrocławiu rozpoczęła się o godzinie czwartej, kiedy w szarą rzeczywistość PRL-u dumnie wpłynął pancernik Potiomkin. Jego kartonowy kadłub nie ochronił jednak załogi przed atakiem milicji i większość marynarzy, wbrew scenariuszowi napisanemu przez historię, trafiła do policyjnych nys. Brak znajomości wydarzeń historycznych „zemścił” się wkrótce na milicji, gdyż zniemacka z pomocą ruszyła piechota garnizonu kronsztadzkiego, a całą ulicę wypełniła kanonada... gwizdków. Funkcjonariusze zastawili więc pocztę - siedzibę Rządu Tymczasowego - a także „Pałac Zimowy”, czyli popularny bar Barbara. Tymczasem wraz z pojawieniem się kolejnej jednostki morskiej, krążownika Aurory, tłum czerwonogwardzistów zaczął narastać. Jakby tego było mało w obronie okrążonego przez policję okrętu wystąpił kontrewolucyjny oddział jazdy Budionnego, uzbrojony w plastikowe szable i korzystający z wszelkich innych dostępnych gadżetów, które pozwalały na zabawę w konną szarżę.

Trudno powiedzieć, ile zdarzeń z tego opisu miało rzeczywiście miejsce na ulicy Świdnickiej. Tym niemniej faktem pozostaje to, że zdezorientowana milicja aresztowała wszystkich, którzy mieli cokolwiek czerwonego, zatrzymując tym sposobem także zupełnie przypadkowych przechodniów.

Większość obserwatorów z sympatią przyglądała się wesołemu wyrykom wrocławian, ale miała podobne kłopoty z interpretacją zdarzeń, z jakimi borykała się milicja. Jedną z zabawniejszych wykładni happeningu rewolucyjnego były reportaże

zachodnich dziennikarzy, którzy donosili, że we Wrocławiu demonstrowali trockiści. Tymczasem interpretacja działalności Pomarańczowej Alternatywy nie jest sprawą błahą. Ich happeningi nie były bowiem jedynie wesołym intermedium w dość ponurej rzeczywistości walki z systemem totalitarnym, ale działalnością na rzecz indywi-

W kulturze pluralistycznej państwo nie ma już monopolu na określanie zasad społecznego współżycia. Każde wystąpienie i demonstracja poddawane są ocenie pozostałych grup i jednostek społeczności demokratycznej, tworząc tym samym dialog wykraczający poza dwubiegunowy układ rząd – opozycja.

dualnej wolności. Wolności od reżimu, ale także od planowej z nim walki. Pomarańczowa Alternatywa nie stanowiła organizacji o określonych celach, a jedynie środowisko ludzi, których wyobraźnia i chęć działania znajdowała swoje źródło w organizowanych happeningach.

„Rozbrajanie” reżimu przy pomocy inscenizowania groteskowych happeningów lub niekonwencjonalnych zachowań (jak na przykład wręczanie milicji kwiatów) zdominowało później wiele protestów w innych państwach bloku socjalistycznego. Ostatnim aktem tego swoistego karnawału, było bez wątpienia zburzenie muru berlińskiego. Zanim jednak na gruzach żelaznej kurtyny wystrzeliły szampany, świat obejrzał jeszcze jedno nietypowe widowisko. Oto w czerwcu 1989 roku tysiące niemieckich turystów przebywających na wakacjach na Węgrzech podjęło próbę przedostania się do Austrii. Władze zamierzały wprowadzić przeprowadzenie ekstradycji, ale węgierska opozycja odpowiedziała akcją przyjmowania (chowania) Niemców w prywatnych domach. Jakkolwiek rewizja mieszkań nie wchodziła w rachubę nawet ze strony reżimu i ostatecznie, po pewnym czasie, tysiące Niemców zostało przyjętych przez Austrię, przechodząc przez granicę, jak gdyby żelazna kurtyna nigdy nie istniała. Po tym wydarzeniu, władze wschodniemieckie zakazały swoim obywatelom wyjazdów na Węgry, ale exodusu nie mogły już powstrzymać. Niemcy zaczęli bowiem masowo wyjeżdżać do Czech, a nawet do Polski, aby tam walczyć o swoje prawo do emigracji na Zachód. Trudno zapomnieć niekończące się sznury samochodów, autokarów i pociągów, które wiozły wschodnich

rys. Przemysław Tytus Krupski



Niemców do ich zachodnich rodzin i przyjaciół. I chociaż decyzja o zburzeniu muru berlińskiego zapadła pod naciskiem Moskwy, to trudno zaprzeczyć, że oglądane przez cały świat widowisko ucieczki obywateli NRD z ich własnego kraju, podważyło stabilność i autorytet reżimu Ericha Honeckera.

Sprzeciw wobec totalitarnych reżimów Europy wschodniej i centralnej traktowany był przez uciśnione społeczeństwa jako coś oczywistego. Tymczasem wraz z upadkiem żelaznej kurtyny oczom zdziwionych obywateli państw postkomunistycznych ukazał się obraz niezwykle zrewoltowanego świata Zachodu, pełnego demonstracji i krytyki społecznej. Rzecz jasna przełom lat 80. i 90. należy traktować jako datę symboliczną. Brak zrozumienia krytycznych postaw w świecie zachodnim dał się zauważyć znacznie wcześniej - na przykład w Polsce - kiedy na rewoltę roku 68 patrzono jak na fanaberie rozkapryszonej młodzieży zachodniej. Chyba jednak najbardziej zaskakującą dla obywateli nowych demokracji okazał się radykalizm i bezkompromisowość ruchów krytycznych wobec systemu wolnorynkowego. Oto wymarzony świat dobrobytu i konsumpcji znalazł się pod brutalnym ostrzałem zachodnich aktywistów. Spektakularne protesty antyglobalistów w Seattle, Pradze czy Goeteborgu wstrząsnęły opinią światową, wywołując niezliczone komentarze i dyskusje.

Bez wątplenia zażarte walki tysięcy demonstrantów z uzbrojoną po zęby poli-

cją zmuszają do zastanowienia nad porządkiem państw zachodniej demokracji. Tym niemniej dla ogromnej części mieszkańców Europy - a zwłaszcza jej części centralnej i wschodniej - zachowanie antyglobalistów wydaje się nieuzasadnione i tym samym przekraczające granice cywilizowanego protestu. Nie chodzi zresztą tylko o starcia z policją, ale cały sztafaż i oprawę protestów, których symbolem rozpoznawczym stali się zamaskowani demonstranci i czarne anarchistyczne flagi. Dla wielu obserwatorów protestów symbole anarchistyczne kreują atmosferę zagrożenia i dowodzą agresywnej postawy demonstrantów. Tymczasem, to właśnie ta szczególna teatralizacja demonstracji antyglobalistycznych sama przez się pozwala dostrzec mankamenty krytykowanego porządku społecznego. Masowość protestów i determinacja uczestników dowodzi społecznej wagi krytyki globalizmu. Policja z konieczności występuje w roli opresora, a zamknięci za zasiekami i policyjnymi zaporami premierzy i ministrowie tracą pożądaną przez nich wizerunek urzędników bliskich społeczeństwu. W ten sposób widowisko, jakie może oglądać cały świat, staje się ważniejsze od rzeczywistych efektów walk ulicznych. Działania protestacyjne obok wywoływania perturbacji, kreowania określonego przekazu, tworzą także pewną rzeczywistość, która oddziałuje w sposób aktywny na życie społeczne. Próba wytłumaczenia na gruncie dyskusji i polemiki tego, że administracje rzą-

dzące państwami zachodnimi stanowią wyizolowaną od społeczeństwa elitę, nigdy nie będzie tak przekonująca dla szerokiej mas, jak obraz zamkniętych w hotelach i pałacach urzędników, chronionych przez kordony uzbrojonej policji i wojska.

Bezkompromisowym krytykom zachodnich demokracji nie chodzi jednak tylko o większą skuteczność ich krytyki. Demonstracje przekraczające granice akceptowanego przez państwo sprzeciwu są w gruncie rzeczy jedynie adekwatną formą protestu zmierzającego do odkrycia ułudy pluralizmu i demokracji świata zachodniego. U źródeł ruchów radykalnych leży bowiem teza, iż system państw zachodnich stanowi jedynie iluzję równości i wolności wypowiedzi. W rzeczywistości wszelkie instytucje demokratyczne służą jedynie ukryciu prawdy o dominacji uprzywilejowanych grup społecznych. Abstrahując od oceny koncepcji krytycznych, trzeba się zgodzić, że zburzenie iluzji wymaga złamania jej reguł, a zatem przyjęcia postawy radykalnej. Widziane z tej perspektywy protesty antyglobalistów, stają się bardziej zrozumiałe, a częste uwagi żurnalistów o „czarnych anarchistycznych

flagach złowieszczu powiewających nad demonstrantami” mogą być traktowane jako stylistyczny ornament do komentarza.

Zrozumienie sprzeciwu społecznego czy postaw krytycznych i wpływających z nich

U źródeł ruchów radykalnych leży teza, iż system państw zachodnich stanowi jedynie iluzję równości i wolności wypowiedzi. W rzeczywistości wszelkie instytucje demokratyczne służą jedynie ukryciu prawdy o dominacji uprzywilejowanych grup społecznych.

protestów wymaga niezwykle szerokiej refleksji historycznej, kulturowej i ideowej. Intelktualne roztrząsanie tradycyjnej koncepcji państwa nie zawsze potrafi w pełni wytłumaczyć spontaniczne działania sfrustrowanego lub zrewoltowanego społeczeństwa. Ważnym czynnikiem pozostaje bowiem także samo widowisko, które powstaje w wyniku protestu i jednocześnie aktywnie kształtuje rzeczywistość społeczną, tworząc pożądane wzorce lub odkrywając jej wstydliwie ukrywane mankamenty. ■

Dr Wojciech Baluch

jest adiunktem w Katedrze Historii i Teorii Teatru Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajmuje się teorią teatru, semantyką kognitywną oraz krytyką kulturową, współautor książki „Dyskurs, postać, pleć w dramacie” (2002).

Partner Search CULTURE 2003

"Theatre School from Olivenza and Ministry of Culture of the Government of Extremadura" CLASSICAL THEATRE

Description of the project:

The project is a proposal for exchange of knowledge, research, experiences and methodologies relative to the training and knowledge of the Scenic Arts, and the plural development of the latter in the pedagogic framework of the different Countries taking part in the project.

This project will be developed through the approach of the study, with a multidisciplinary character, of a proposal for contemporary reading of classic texts. This would revert in the realisation of a spectacle with the participation of the teaching body and student body of Schools of Dramatic Art from the countries taking part in the project.

The objective of the project is to secure a reflection on the war and its consequences, specially the migration of the towns, affecting, very especially, the consequences that the aforementioned phenomena has in society.

This will be achieved through the point of view of the reality that exist in the countries that will participate in the project. Therefore, the results of these considerations will revert in the final spectacle.

Summarising, the project aims to organise an spectacle from a contemporary reading of classic texts from the Greek literature, taking as main subjects the consequences of the war and its consequences, especially the generation of migrations movements, and its social impact from the vision of the countries that will integrate this project.

Contact Person:

Carmen Zamora del Castillo
Oficina de Proyectos Europeos
Consejería de Cultura de la Junta de Extremadura
Tel. 0034.924.00.85.86
Fax 0034.924.00.85.93
Email: czamora@clt.juntaex.es

Anna ■
Sieradzka

Moda polska

SARMACKI GUST UBIÓR NARODOWY W XVII WIEKU

Zjawisko orientalizacji, widoczne od początku kształtowania się polskiego, męskiego ubioru narodowego, uległo nasileniu w XVII wieku. W tym okresie większość Polaków przejawiała sarmacki gust w urządzaniu domostw, zamiłowaniu do wschodniej broni i oporządzenia koni, a zwłaszcza w ubiorach, które coraz bardziej odróżniały polskich szlachciców od mężczyzn podporządkowujących się wskazówkom mody zachodnioeuropejskiej.

SARMATYZM w odniesieniu do ubiorów oznaczał zamiłowanie do kosztownych tkanin, futer, szat długich i obfitych, nakryć głowy, spodni i obuwia, typowych dla polskiej tradycji oraz własnych form fryzur i zarostu. Te wszystkie elementy złożyły się na niepowtarzalny wizerunek Polaka-Sarmaty, utrwalaony w sztuce i literaturze.

W pierwszej połowie XVII wieku rozpowszechniły się podstawowe części ubioru narodowego: żupan, delia, kołpak, buty z cholewami. Do kanonu szlacheckiej garderoby wszedł kontusz, stając się na długi czas drugim, obok żupana, podstawowym wyróżnikiem polskiej mody.

Kontusz był w Polsce używany co najmniej od lat trzydziestych XVII wieku, ale jego pierwsze przedstawienia ikonograficzne pojawiają się dopiero w drugiej połowie tegoż stulecia. Ubiór ten łączył w oryginalną niepowtarzalną całość podstawową formę tureckich kaftanów z krojem szat zachodnioeuropejskich. Z tyłu, od linii pasa, plecy kontusza przechodziły bez przecięcia do jego dolnego brzegu, tworząc długi, wąski prostokąt, zwany „słupem”. Po obu stronach tegoż „słupa” doszywano od talii w dół kłoszowe boki. Drugą wyróżniającą cechą kontusza były rękawy: wszyte do podkrojonych pach, szerokie u góry i zwężające się przy dłoniach. Dopiero od końca XVII wieku rękawy te rozcinano od ramienia do łokcia lub na całej długości, co stworzyło zwisające po bokach lub odrzucane do tyłu wloty, tak charakterystyczne dla wyglądu polskiej szlachty w następnym stuleciu. Z przodu kontusz był początkowo otwarty

na całej długości, ukazując spodni żupan, bądź przepasany w talii kontuszowym pasem z tkaniny. W XVII stuleciu większość kontuszy, pełniących rolę reprezentacyjnego okrycia wierzchniego, była podbijana futrem i zaopatrzona w szalowy, futrzany kołnierz.

Zdegradowany do roli ubioru spodniego żupan widoczny był tylko z przodu, spod rozchylonego kontusza. Dbano jednak o odpowiedni dobór tkanin i barw tych dwu podstawowych części stroju, zestawiając je kontrastowo lub harmonijnie - w odświętnych szatach preferowano nadal wszelkie odcienie czerwieni.

Żupany i kontusze wierzchnie niemal całkowicie kryły długie spodnie, występu-

W pierwszej połowie XVII wieku rozpowszechniły się podstawowe części ubioru narodowego: żupan, delia, kołpak, buty z cholewami. Do kanonu szlacheckiej garderoby wszedł kontusz, stając się na długi czas drugim, obok żupana, podstawowym wyróżnikiem polskiej mody.

jące wówczas jako stosunkowo wąskie portki lub obszerne, wschodnie szarawary, zawsze wpuszczane w buty o miękkich, sięgających do kolan cholewach.

Obok kołpaków w całości sporządzonych z futra, coraz popularniejsze stawały się niskie czapki o wierzchu z miękkiej tkaniny, ale także obwiedzione futrzanym otokiem. Oblicze szlachcica Sarmaty znacznie różniło się od gładko wygolonych (co najwyższej ze szczytkowym wąsikiem) twarzy zachodnioeuropejskich elegantów, ich długich włosów czy obfitych peruk. W połowie XVII wieku Polacy mocno podgalałi włosy, pozostawiając jedynie na środku głowy sterzącą czub. Za czasów Jana III Sobieskiego



Kontusz podbity futrem, II połowa XVII w.
Fragment obrazu „Taniec śmierci”, malarz bernardyński

nosili, tak jak król, fryzurę z włosów wysoko podciętych na okrągło wokół głowy, z krótką grzywką nad czołem. Obowiązkowe były sumiaste, bujne wąsy, natomiast okazałe brody stopniowo zanikały.

Najlepsze przykłady ówczesnego gustu i mody odnajdujemy na licznych siedemnastowiecznych wizerunkach portreto-

wych, portretach trumiennych czy w scenach alegoryczno-rodzajowych, dokładnie i wyraźnie oddających wygląd oraz strój Polaków. Nie bez powodu sarmacki typ malarstwa i sarmacki ubiór uznawane są za nierozłączną całość, dobitnie wyrażającą oryginalność i wyjątkowość polskiej kultury czasów I Rzeczypospolitej. ■

Anna Sieradzka
jest profesorem w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się głównie sztuką polską XIX i XX wieku oraz kostiumologią i rzemiosłem.

Jerzy Kłoczowski, Historia Polski od czasów najdawniejszych do końca XV wieku, Lublin 2000

Niniejszy zarys dziejów Polski średniowiecznej, wydany jako część zbiorowej historii Polski oraz Białorusi, Litwy i Ukrainy, obejmuje bardzo ważny okres - w sumie połowę tysiącletniej historii Polski - w którym stworzone zostały mocne podstawy społeczeństwa, państwa, kultury polskiej w ramach zachodnioeuropejskiego, chrześcijańskiego kręgu cywilizacyjnego. (...) Zarys chronologiczny, który obejmuje siedem pierwszych rozdziałów, prezentuje w ogromnym skrócie główne linie przemiany państwa i społeczeństwa polskiego. Następnym pięć rozdziałów dotyczy będzie już wyraźnie wieków XIV i XV, przedstawiając w różnych aspektach Polskę, jej społeczeństwo, jako kraj wchodzący głęboko do kręgu zachodniego chrześcijaństwa, kręgu nazywanego już od tego czasu najczęściej po prostu Europą, a zarazem jako kraj zachowujący swą tożsamość i uderzającą niekiedy swoistość.

Prof. Jerzy Kłoczowski

Praca jednego z najwybitniejszych znawców średniowiecza, Jerzego Kłoczowskiego, stanowi ambitną próbę przedstawienia nowej wizji przeszłości Polski od początków jej istnienia do schyłku XV wieku. (...) Nie ulega dla mnie wątpliwości, że praca stanowi bardzo wartościową syntezę najdawniejszego okresu naszych dziejów, która poza przyniesieniem nowych ustaleń charakteryzuje się dwoma cechami szczególnymi: po pierwsze ukazuje dzieje naszego kraju w szerokim kontekście problematyki powszechnej, po drugie - przynosi treści akceptowane przez naszych sąsiadów i jest w znacznej mierze wypełnieniem postulatów napisania historii Europy Środkowo-Wschodniej jako wyraźnie wydzielonego kręgu cywilizacyjnego. Napisana dobrym, jasnym językiem bez wątplenia będzie ważną lekturą i dla badaczy, i jako podręcznik dla studentów oraz miłośników historii.

Prof. Henryk Samsonowicz

Książkę można zamówić:

Towarzystwo Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej
ul. M. Curie-Skłodowskiej 58/1
tel./fax (0-81) 533 85 88; e-mail: wydawnictwo@iesw.lublin.pl



Halina ■
Solecka

WRÓŻBY ADWENTOWE

Życie społeczności wiejskiej, związanej od zawsze z tradycją kulturą, toczy się do dzisiaj wokół dorocznego kalendarza obrzędowego. Po okresie jesiennym, gdy zakończone są już wszystkie prace polowe, następuje czas spokoju w gwarnym dotychczas życiu gospodarczym. Ogół życia domowego i towarzyskiego wraz ze zwyczajami, skupia się wokół ogniska domowego - w wiejskiej izbie. W listopadowe długie wieczory, kobiety i dziewczęta zbierały się, by wspólnie drzeć pierze na poduszki, prząć len przy wtórce pieśni. Powoli następuje bardzo ważny moment - przygotowań do okresu grudniowego.

W TAJEMNICZY nastrój tego czasu wprowadzają wróżby małżeńskie w dniu św. Katarzyny (25.XI.) - dla chłopców i św. Andrzeja (29.XI.) - dla dziewcząt.

Czas wróżb katarzynkowych i andrzejkowych przypada w adwencie, liczoną od dnia św. Marcina (11.XI.). Stąd ten czterdziestodniowy okres skupienia i oczekiwania nosi nazwę czterdziestnicy.

Jednak w początkowym okresie adwentu, jego poważny nastrój znacznie ożywiają zabawy towarzyszące wróżbom o charakterze matrymonialnym. Wyraz temu daje ludowe przysłowie: „Kto się zaleca w adwenta, ten będzie miał żonę (męża) na święta”.

Wróżby zamążpójścia i ożenku odgrywały w domowym obyczaju polskim główną rolę. Łukasz Gołębiowski (Zwyczajnie i zabobony Ludu Polskiego, W-wa 1830) i Oskar Kolberg (Lud Polski... Lubelskie cz. I, Kraków 1883) nazywają ten okres wilią św. Katarzyny i św. Andrzeja. Na tę samą intencję wróżono także w inne dni tego celu uprzywilejowane, a było ich pięć w roku. Poza wymienionymi dniami listopadowymi, obie płcie wróżyły sobie przy wigilijnym stole. Poza tym w przeddzień Nowego Roku i św. Jana Chrzciciela wróżyły sobie tylko dziewczęta.

Według Zygmunta Glogera („Rok Polski”), każda doroczna przepowiednia przyszłościowa powinna mieć związek z początkiem jakiegoś przełomowego okresu roku. Do takich dni należą właśnie: początek adwentu, rozpoczynającego nowy rok kościelny; Wigilia Bożego Narodzenia i Nowy Rok - jako początek roku w erze chrześcijańskiej i kalendarzowej. Wreszcie wigilia św. Jana, następująca zaraz po przesileniu dnia z nocą, które w pojęciach pierwotnych kończyło i rozpoczynało rok słoneczny.

Według Adama Fischera (Etnografia Słowiańska, z. 3, Polacy, Lwów 1934) - wróżyć, czyli przepowiadać przyszłość, potrafił lud w rozmaity sposób: z ognia, świec, pochodni, węgla, dymu, powietrza, chmur, mgieł, wiatrów, słońca, księżyca, gwiazd, zachowania się zwierząt, a wreszcie z dziwnych snów.

Na przełomie XIX i XX wieku zaskakująco duża była pomysłowość w sposobach wróżenia na tematy zamążpójścia i ożenku. Wykazywały się nią szczególnie dziewczęta wróżące sobie w dzień św. Andrzeja. Nie-

które z tych wróżb znane były i praktykowane również przez chłopców, głównie w dzień św. Katarzyny.

Przy okazji wróżenia istotną była przede wszystkim nadarzająca się sposobność do spotkań i wspólnej zabawy w grupach rówieśniczych czy rodzinnych danej społeczności. Sam zwyczaj odgadywania przyszłości i wróżenia o przyszłych losach swego życia znany jest ludzkości od najdawniejszych czasów. Zygmunt Gloger podaje przykłady wróżb wywodzących się jeszcze z czasów rzymskich. Otóż kreslono na piasku koło i kładziono na jego obwodzie taką ilość ziaren zboża, by odpowiadała ilości liter alfabetu. Na środek koła puszczano koguta i czyniono wróżbę z liter-ziaren, które kogut polykał. Tego rodzaju wróżbiarstwo nazywano nawet alektryomancją (z gr. alektor-kogut, manteja-wróźba).

Analogią do owej rzymskiej wróżby z kogutem może być znana u nas - rozpowszechniona na Kujawach - wróżba z gąsiorem. Tam dziewczęta, wzięwszy się za ręce, puszczają w środek gąsiora z zawiazanymi oczami. Do której najpierw zbliży się ptak, ta pierwsza wyjdzie za mąż.

W takim też celu, w innych regionach, dziewczęta przywołują psa, który kuszony bywa różnymi smakołykami. Na Mazowszu, w lubelskim i sandomierskim, jako rekwizytu do tej wróżby używano placuszków, galek z mięsa i ciasta lub nóżek cielęcych, które wygłodniały pies zjadał. I tutaj kolejność zjadanych kąsków jest wróżbą o kolejności zamążpójścia dla dziewcząt biorących udział w zabawie. Według dr Janiny Petery źle wróżyło, gdy placek był zjedzony przez psa pod łóżkiem, gdyż mogło to znaczyć, że dziewczyna wkrótce umrze (biłgorajskie). Placki wypiekane wspólnie przez dziewczęta nazywane są też „andrzejkami”, „kukielkami” lub „gomułkami”. Dziewczęta na ich wypiek przynosiły garść mąki lub żyta, które mielono w żarnach „na opak”, tj. w odwrotną (lewą) stronę. Po czym mąkę rozczyniały wodą przyniesioną w ustach, a zaczerpniętą z rzeki lub z koryta stojącego w podwórzu. Aby wypiec tak przygotowane „andrzejki”, używano drewna kradzionego u sąsiadów lub sztachet wyłamanych z płotów grodujących gospodarstwa zamieszkałe przez kawalerów. Natomiast w Kłodzie Dużej (pow. Biała Podlaska),

dziewczeta w wigilię św. Andrzeja robiły kluski, znaczyły je i wrzucały na gorącą wodę. Dziewczyna, której kluska pierwsza wypłynęła na wierzch, miała jako pierwsza wyjść za mąż.

Bardziej znane i częściej stosowane do dzisiaj (ze względu na możliwość przeprowadzenia), są wróżby polegające na osobistym odliczaniu przez zainteresowanych. Do praktyk tych używano przedmiotów związanych z kulturą materialną. Otóż dziewczeta na wsi wróżyły sobie np. z ilości wiór. Wybiegały na podwórko i w zapaskę nabierały pewną ilość. Jeśli była paryzsta, to dziewczyna w przeciągu roku miała wyjść za mąż.

W niektórych rejonach (wg Gołębiowskiego), „po zasianiu lnu”, dziewczeta wróżyły z kółków w płocie. Odliczając od pierwszego, aż do zakrętu bądź do końca płotu, powtarzały po kolei: „to wdowiec”, „to młodzieniec”... Który z tych wyrazów przypadnie na ostatni kółek – „ten się jej dostanie”. Ten zwyczaj był tak powszechnie stosowany, że stwarzał młodzieży męskiej pewną okazję do psot. Ponieważ odliczanie kółków odbywało się wieczorem, czy nocą – często dla żartu mazano płot dziegiem.

Inną wróżbą polegającą na odliczaniu, jest znana do dzisiaj, wróżba z bucików. Dziewczeta ustawiają swoje buty w rzędzie, od ściany w kierunku drzwi. Jeśli jakiś but noskiem przekroczy próg, jego właścicielka jako pierwsza wyjdzie za mąż. Przestrzeń ta może być przemierzana na przemian; jeden noskiem, inny piętą skierowany ku drzwiom. Jeśli próg przekracza but zwrócony piętą, wówczas dziewczyna, do której należy, nie wyjdzie za mąż w danym roku. Jeszcze inną wróżbę przy użyciu butów przytacza dr J. Petera. Otóż „starki” z Biłgoraja, a także dziewczeta we wsiach z okolic Włodawy i Białej Podlaskiej, kładły buty do niecki służącej do zagniatania ciasta i kołysały nią. „Której dziewczyny but pierwszy wypadł, ta wkrótce zostanie mężatką”.

Do wróżb przeprowadzanych kolektywnie należą też znane i praktykowane w czasie zabaw wróżby, dla których głównym rekwizytem jest woda i puszczane na nią różne przedmioty. I tak, często wróży się z wylewanego na wodę wosku, a dawniej (szczególnie w środowisku dworskim) także z ołowiu. Zastygły element wyjmuje się z wody i rzuca jego cień na ścianę. Z kształtu elementu wyciąga się różne skojarzenia na temat wyglądu współmałżonka, czy ogólnie przyszłości, np. przyszłego zawodu. Z wodą związane są wróżby przepowiadające zarówno połączenie, jak i rozejście się par. W okolicach Lubelszczyzny panny puszczały wianuszki i listki na wodę. Na wodę puszczano też ka-

walki kory, łupiny orzecha z zapalonymi nań świeczkami. Pływające elementy wyobrażały pannę i kawalera. Jeśli zetknęły się ze sobą – wróżyły pomyślnie o zamążpójściu obojga. W hrubieszowskim dziewczeta wróżyły sobie z zaczerpniętej z rzeki wody. Jeśli wraz z wodą nabrały patyków – to oznaczało, że przyszedł mąż będzie stolarzem lub stelmachem; jeśli wyłowily

*Dziewczeta, rozbierając się do snu,
podkładały pod prawe ucho krajkę czy
wstążkę, którą miały przepasany stan.
Po takich przygotowaniach dziewczyna
była pewna, że we śnie ujrzy postać
przyszłego męża.*

kawalek blachy, drutu – to będzie kowalem; jeżeli zaś w zaczerpniętej wodzie będzie ziemia – to będzie rolnikiem (wg dr J. Petery).

Do naczyń z wodą wrzucano też jęczmień i obserwowano uważnie, czy ziarnka nie zaczynają kielkować. Szczęśliwą mężatką miała być panna, która pierwsza dostrzegła kielkek. Podobną wróżbę czynili chłopcy przed dniem św. Katarzyny. Ucinali gałązki wiśni i włożywszy je do wazonu z wodą, obserwowali, czy zakwita. Jeśli czyjaś gałązka zakwitła przed Bożym Narodzeniem lub Nowym Rokiem, „ten będzie szczęśliwym i dobrą otrzyma partię”.

W lubartowskim i krasnostawskim, dziewczeta wybiegały do ogrodu i obejmując pień bzu mówiły (cyt.: wykład dr J. Petery).

*„Oj ty bzie ty bziaku
daj mi chłopca tego roku
Oj ty bzie chłopca mi się chce,
Choć o jednym oku, aby tego roku”*
(Spiczyn, Zawieprzyce pow. Lubartów)
lub
*„Oj bzie, bzie
jak mi bez chłopca źle”*
(Małochwiej Duży, pow. Krasnostaw)

Wiele wróżb małżeńskich wiązało się ze sferą snu. Wróżby z tej kategorii można było przeprowadzać samemu, w obrębie swojej sypialni i własnego łóżka. Według Gołębiowskiego, kładąc się do łóżka w dniu wróżb, recytowano nawet krótki wiersz:

*„Łóżko moje depczę ciebie,
Panie Boże proszę ciebie
Niech mi się ten przyśni
Kto mi będzie najmiłszy”.*

Uważano więc, co się przyśni, o czym mówi też wiersz Kunegundy Jasielskiej:

*„W wigilio św. Jędrzeja
spełniona moja nadzieja,
Bogdaj to się sprawdziło,
Co mi się ongiś uśniło”.*

Aby wieszczy sen się przyśnił, starano mu się dopomóc, przy pomocy różnych praktyk i tak np. dziewczyna pościła przez cały dzień, zjadając jedynie placek upieczony z łyżki mąki, wody i dużej ilości soli, bądź niemoczonego śledzia. „Kto się jej przyśnił nocą, podając wodę, miał zostać jej przyszłym mężem” (badania w hrubieszowskim dr J. Petery).

Do dzisiaj też kładzie się pod poduszki karteczki z imionami panien lub kawalerów. Rano natomiast wyciąga się jedną z karteczek, a wypisane na niej imię wskazuje przyszłego towarzysza życia. Dla uzyskania lepszego efektu chłopcy umieszczali też pod głową cegłę lub kamień owinięty w jakąś część garderoby kobiecej: spódnice, pończochy, wstążkę.

Ze sferą snu wiąże się szczególnie dużo wróżb. I tak, w krakowskim, na Podlasiu i na Rusi (wg Gołębiowskiego, op. cit.) wieśniaczki, chcąc uzyskać we śnie nieomylną wskazówkę co do przyszłego męża, mówiły 9 pacierzy stojąc, 9 klęcząc, 9 siedząc, a w trakcie modlitwy siały len w naczyniu wypełnionym ziemią. Rzucając len mówiły:

*„Święty Andrzeju,
Ja na tebe lon sieju,
Daj mene znaty,
Z kim budu zberaty”.*

Podobnie też (wg dr J. Petery) w Spiczynie i Zawieprzycach (pow. Lubartów), panny „siały len” na posłanie i wymawiały tą samą tradycyjną formułkę:

*„Andrzeju , Andrzeju,
na tobie lon sieju
cbto o mnie myśli
niech mi się przyśni”*

Dziewczęta także, rozbierając się do snu, podkładały pod prawe ucho krajkę czy wstążkę, którą miały przepasany stan. Po takich przygotowaniach dziewczyna była pewna, że we śnie ujrzy postać przyszłego męża. W tym samym celu w powiecie radzyńskim, dziewczęta spały na maglownicy lub męskich spodniach (wg dr J. Petery).

Przed udaniem się na spoczynek, młodzi, a zwłaszcza dziewczęta, zasiadali też o północy w samotnej izbie przed lustrem. Dokładniej, ustawiano dwa lustra: jedno przed, a drugie za sobą, a przy nich świece. Pilnie obserwowano, czyje odbicie lub cień przemknie w lustrze – ten będzie wybrankiem.

Zwyczaj szukania odbicia przyszłego małżonka w zwierciadle, opisał w swej balladzie „Świetlana” — Żukowski (przekład z rosyjskiego Antoni Edward Odyniec). Balladę tę przytacza Gołębiowski (op. cyt.):

*„Za starszych poradą,
Niosą stół dziewice,
Na nim dwa talerze kładą,
Pałą cztery świece.
Stawią zwierciadło na stole
Biało podestane
Piszą koło, a w tem kole
Sadzają Świetlanę.
Siedź i nie bój się ucale,
W czystym zwierciadła kryształe
Obaczysz kochanka,
Jak skoro północ uderzy,
Siądzie z tobą do wieczery,
Zabawi do ranka”.*

Ten sposób wróżenia ma wydźwięk magii fantasmagorycznej i, jak pisze Gołębiowski, już za jego czasów był rzadko praktykowany.

Znacznie prostszą i pozbawioną owej otoczki niesamowitości i grozy, była inna wróżba oparta na podobnych założeniach. Przykład takiej wróżby podaje Adam Fischer (Lud Polski, 1926). Otóż w dzień św. Andrzeja, dziewczęta przyszedłszy rano po wodę do studni, zaglądały do głębi w przekonaniu, że zobaczą w zwierciadle wody przyszłego męża. Z nadzieją zobaczenia wizerunku przyszłego męża, dziewczęta wpatrywały się również o północy w obrączkę zanurzoną w wodzie.

Do popularnych zwyczajów andrzejkowych na terenie północnej Lubelszczyzny, należało omotywanie przez dziewczęta lnianymi niciami dróg wiodących do ich domów (wg dr J. Petery). Wróżba ta była pomyslną dla dziewczyny, gdy chłopiec – zaplątawszy się – nie przerwał nici.

Innym jeszcze rodzajem wróżb małżeńskich były wróżby z różnych odgłosów. Tutaj wyobraźnię wspierał słuch. I tak, znaną była wróżba ze szczekania psa: „skąd pies zaszczekał, z tej strony przybędzie kawaler”. Podsluchiowano także pod oknami domów, zwracając szczególną uwagę na wyrwykowe słowa: np. „pójdź, zrób, przynieś”, które miały wróżyć szybko zamążpójście. Gdy zaś podsluchujący usłyszał, oczywiście wyrwane z kontekstu rozmowy, słowa: „siedź, siadaj” i on musiał rok jeszcze „posiedzieć”, tj. poczekać z ożenkiem.

Oskar Kolberg, wymienia inną prostą do przeprowadzenia wróżbę z rodzaju: chowania czegoś pod coś, po czym wyciągania na chybił trafił. I tak, w okolicach Lublina i Turobina, badacz odnotował zwyczaj chowania pod miski lub talerze: kwiatka lub listka, koronki czy czepek.

Interpretuje się tę wróżbę następująco: „która z dziewcząt wyciągnie spod talerza listek, ta będzie rutkę cięła (tj. zostanie panną), która koronkę, ta będzie zakonnicą, która zaś czepek, ta mężatką zostanie”.

W Krasnobrodzie (pow. zamojski) do przeprowadzenia wróżb używano trzech misek glinianych, pod które wkładano: rutę, czepiec i różaniec. Dziewczyna podnosiła miskę mając zasłonięte oczy, gdy odkryła rutę – oznaczało to dla niej pannieństwo przez dłuższy czas, czepiec – wróżył szybkie zamążpójście, różaniec – oznaczał, że będzie zakonnicą. W Sulówku (pow. zamojski), według dr J. Petery, pod talerze kładziono barwinek, pasek i chustkę. Gdy dziewczyna wyciągnęła barwinek, mówiono, że długo pozostanie panną; pasek, że będzie miała dziecko przed ślubem; chustka oznaczała szybkie zamążpójście. Mówiono, że „będą ją wkrótce czepić”. Na tę samą intencję dziewczęta wróżyły sobie przy stole wigilijnym, wyciągając spod obrusa źdźbła siana.

Na południu Polski wierzą, że dzień imienin św. Andrzeja był także porą szczególnej aktywności czarownic i upiórów. Owe złe moce mogły np. odbierać krowom mleko. Aby temu zapobiec, kresłono na drzwiach domów i obór znak krzyża... główką czosnku. Czosnek nabierał wówczas mocy wieszczych, a młode dziewczęta zjadały na noc trzy ząbki czosnku z owej główki w oczekiwaniu na cudowny sen.

W rzeszowskim natomiast, wierzą, że w noc św. Andrzeja wychodzą z grobów dusze pokutujących topielców i samobójców. Żeby nie dopuścić do tego, gospodarze rozpalali na podwórzu tzw. ognie św. Andrzeja. Z tej okazji korzystały dziewczęta. Wróżyły z niedopalonego ogniska, do którego wrzucały wcześniej zeszlaczalne palmy wielkanocne. Gdy wyciągnięto długą gałązkę palącą się jaskrawo - zapowiadała gorące uczucie: krótka, gasnąca – wręcz odwrotnie.

Poważny nastrój adwentu zdecydowanie dominuje w życiu społeczności wiejskiej. Ostatnia huczna zabawa taneczna odbywała się w dzień go poprzedzający i kończono ją zawsze przed północą. Następował okres wyciszenia i nabożeństw kościelnych zwanych roratami, które odprawiano jeszcze przed wschodem słońca. Koniec wesołego nastroju tego okresu obrazuje przysłowie:

*„Święta Katarzyna klucze pogubiła,
Święty Jędrzej znalazł, zamknął
skrzypki zaraz”.*

Ponadto w adwencie obowiązywał dawniej ostry post, podobnie jak przed Wielkanocą.

Momentem pogodniejszym w tym okresie były obchody dnia 6 grudnia tj.

dzień św. Mikołaja. Do naszych czasów zachowało się wierzenie, iż św. Mikołaj chroni domostwa przed wilkami. Znana była prośba do św. Mikołaja:

„Święty Mikołaju trzymaj wilka w raju, trzymaj go za nogę, aż trafię na drogę”.

Pamięć św. Mikołaja – patrona szczególnie ważnego dla wyznawców prawosławia – czczono zwłaszcza na terenach pld-wsch. Polski.

Aby zapewnić sobie pomoc św. Mikołaja, wiele osób w tym dniu kropiło wodą święconą bydło w gospodarstwie i zabudowania. Często zanoszono w ofierze kury, gęsi czy barana do pobliskiej cerkwi lub kościoła. Te najstarsze wierzenia, praktyki związane z dniem św. Mikołaja nie mają wiele wspólnego ze współczesnymi obchodami tego dnia. Tradycja obdarowywania prezentami w dzień św. Mikołaja dotarła do nas z Niemiec w XVII wieku. Przyjęła się i rozpowszechniła wśród magnaterii i bogatego mieszczaństwa. Obdarowywano w tym dniu głównie dzieci. Otrzymywały one laski, zabawki, obrazki. Polska wieś nie praktykowała tego zwyczaju w tej formie jeszcze przez kilka dziesięcioleci. Dzieci wiejskie obdarowywano obwarzankami głównie z okazji świąt, dnia imienin patrona parafii – przy okazji odpustów czy jarmarków i to głównie dzieci bogatszych gospodarzy.

A wracając do wróżb omawianego okresu, należy zwrócić ponownie uwagę na rolę, jaką musiały spełniać. Była ona bardzo istotną w tradycyjnym życiu społecznym dawnej wsi i miasteczek, skoro zwyczaj wróżb matrymonialnych przetrwał do dzisiaj. Wprawdzie dzisiaj nie pokładamy we wróżbach już takich nadziei, ale urozmaicają nadal obchodzone wspólnie dla obu płci – wieczory andrzejkowych zabaw, integrując jak dawniej grupy rówieśnicze. ■



rys. M. E. Andrioli

W noc Św. Andrzeja. |

Dziękuję **Pani dr Janinie Peterze** za udostępnienie wyników badań terenowych i materiałów własnych oraz zgodę na wykorzystanie ich w mojej publikacji.

Mgr Halina Solecka
jest kustoszem Działu Etnografii Muzeum Regionalnego PTTK im. Izabeli ks. Czartoryskiej w Puławach.

Mariola ■
Tymochowicz

MAGIA ODEJŚCIA

OBRZĘDOWOŚĆ POGRZEBOWA W POLSCE

Śmierć jednego z członków społeczności jest wydarzeniem istotnym i zwykle obchodzonym z należyтым szacunkiem. Wymaga wówczas zastosowania odpowiednich obrzędów, poprzez które żywi wyłaczają zmarłego ze swojej grupy, a także ułatwiają mu przejście do krainy zmarłych.

Ci, którzy pozostają, pamiętają także o tym, aby za pomocą różnego rodzaju środków magicznych zabezpieczyć rodzinę i bliskich przed negatywnym działaniem śmierci. W obrzędach utrwalonych na ziemiach polskich duże znaczenie odgrywało tło wierzeniowe, opierające się na zasadach wyznawanej religii oraz dawnych tradycjach słowiańskich.

DO DZIŚ wielu ludzi uważa, że zachowanie niektórych zwierząt, ptaków, spadające przedmioty oraz przecucia mogą przepowiadać zgon. Za zwiastuna nadchodzącej śmierci uważany bywa pies, który – jak powiadają ludzie na wsi – czuje i widzi śmierć. Jeśli na podwórku pies wyje z pyskiem spuszczone do ziemi albo podniesionym do góry, oznacza to ponoć, że ktoś w rodzinie umrze. Konie także mają podobno zdolności przeczuwania śmierci, choć wróżba ta jest obecnie rzadko praktykowana, ponieważ coraz rzadziej używa się tych zwierząt w gospodarstwie.

Na Warmii i Mazurach ludzie wierzyli, że jeśli koń kopie dołek w stajni lub przed domem, gdzie leży chory, to wróży to niechybną śmierć. Podobnie uważano, że gdy koń wiozący księdza zatrzyma się na drodze, będzie spocony albo obejrzy się za siebie, to znaczy, że wyczuwa śmierć. Natomiast w środkowej, zachodniej i północno-wschodniej Polsce za symptom nadchodzącej śmierci uważane są kopce wykonane przez kreta przy chałupie. Mawia się wówczas, że *kret wyprowadza kogoś z domu*. Piejąca kura także przepowiada śmierć. W tym przypadku w niektórych regionach starano się zapobiec nieszczęściu poprzez jej zabicie o zachodzie lub wschodzie słońca i wypowiedzenie odpowiednich zaklęć. Innym sposobem było *przemierzanie*, czyli mierzenie kurą chałupy. Jeśli na progu wypadła głowa, to należało kurę zabić, a jeśli ogon, to go odcinać. Sowa jest kolejnym ptakiem, po którego zachowaniu lub wydawanym głosie *pódz, podz*, ludzie zwiastują śmierć w rodzinie lub sąsiedztwie. Do innych dzikich ptaków, które podobno przynoszą nieszczęście można zaliczyć wronę, krukę, srokę czy kukułkę. Wiąże się z nimi przekonanie, że siadają przy domu, w którym ma ktoś umrzeć.

Ludzie na wsi wierzyli też, że niechybną ozna-

ką śmierci jest brak cienia kogoś z członków rodziny podczas wieczerzy wigilijnej, gdyż dawniej utożsamiano cień z duszą. Natomiast w regionie opolskim starsi ludzie opowiadali, że jeśli drzewa albo czarny bez zakwitną jesienią to *na czyjąś śmierć*. Również spadające przedmioty, obrazy, lustra pękające bez specjalnej przyczyny stanowią zapowiedź śmierci. Natomiast sny o wypadających zębach, mętnej wodzie, dołach, słomie, pogrzebie, węglu, wótrach - ostrzegały o zbliżającym się zgonie kogoś z rodziny. Uważano także, aby podczas różnych prac polowych nie zostawić niezasiałego zagonu, gdyż to stanowiło złą wróżbę.

Przy umierającym zbierała się cała rodzina, przychodził do niego ksiądz, aby pogodzić go z Bogiem i najbliższymi. Długi zgon, według przekonań ludowych, mógł wynikać z nieuregulowania wszystkich spraw przez umierającego, czyli jak powiadali, *miał on coś na sumieniu*, albo był związany z siłami nieczystymi. W jednym i w drugim przypadku należało wykonać szereg zabiegów magicznych, aby ułatwić zgon. Nie wolno było wówczas zachowywać się głośno i płakać, ponieważ to utrudniało albo mogło przerwać śmierć, co powodowało jeszcze dłuższe konanie. Aby ułatwić odłączenie się duszy od ciała robiono otwór w dachu albo otwierano drzwi i okna. Wkładano umierającemu poświęconą gromnicę do rąk i modlono się za niego, a jeśli to nie pomagało, kropiono go święconą wodą, okadzano świętymi ziołami, dzwoniło dzwonkiem



fol. M. Pokropek

Kondukt żałobny w drodze do kościoła. Skępe.

dla konających. Jeśli to nie przyniosło efektu, układano umierającego na żytniej słomie rozścielonej na podłodze. Zabierano mu także spod głowy poduszkę z pierzem, szczególnie kurzym, które powstrzymuje zgon. Jest to wierzenie znane z innych części Europy. Czasem podkładano w miejsce poduszki Biblię.

Po zgonie należało umarłemu zamknąć oczy. Czasami na powieki kładziono monety, żeby oczy się nie otworzyły i nikogo *nie wypatrzyły* na tamten świat. Następnie rodzina albo ktoś obcy, przygotowywali zmarłego do trumny. W tym też czasie zakrywano w domu lustra i okna, aby dusza nikogo nie zabrała ze sobą i żeby w domu nie pozostała. Zatrzymywano zegar, gdyż czas dla zmarłego zatrzymał się. Obecnie zasłania się też telewizor, który przez cały czas, kiedy zmarły jest w domu, nie jest włączany.

O śmierci we wsi przeważnie informują bijące dzwony, a także rozmaite, w zależności od regionu, oznaczenia domu zmarłego. W środkowej Polsce przed chałupę wystawiano wieko trumny, na Mazowszu i Kujawach przed domem stawiano chorągwie pożyczone z kościoła, a w Wielkopolsce krzyż. W południowo-wschodniej części kraju rozsypywano na drodze wióry z trumny. Zwyczaj ten zanikł po II wojnie światowej. Obecnie wióry z trumny w niektórych wsiach Lubelszczyzny podkładane są zmarłemu pod głowę. W niektórych regionach wysypywano też słomę, na której leżał zmarły. Natomiast w części północno-wschodniej przed domem rozrzucono gałązki świerkowe. Wiadomość o zgonie przekazywana była też za pomocą przedmiotów: w Radomskim była to czarna tabliczka z trupią główką, którą podawano z domu do domu, w Lubelskim był to czarny krzyż. Dziś bardzo powszechnym sposobem jest zawiadomienie ustne. Czyni to członek rodziny zmarłego lub mieszkańcy przekazują sobie wiadomość między sobą. W okolicach Janowa Lubelskiego o zgonie powiadamia się innych za pomocą obrazka świętego, na odwrocie którego napisane jest, kto zmarł i na którą godzinę rodzina zaprasza na czuwanie. Współcześnie w tym celu używa się też klepsydry, jest to kartka papieru, na której wydrukowane jest nazwisko i imię zmarłego, data śmierci oraz termin pogrzebu.

W przypadku śmierci gospodarza lub jego żony, powszechny był w większości rejonów kraju zwyczaj zawiadomiania o tym zwierząt inwentarskich i pszczół. Istniało przekonanie, że gdyby nie zostało to zrobione, mogłyby wyzdychać zwierzęta, które *poszłyby* za swoim gospodarzem. Dlatego też ktoś z rodziny szedł do stajni,



foto: J. Orębski

Pogrzeb w Bobrowiczach.

po czym stukał w drzwi i informował, że zmarł ich gospodarz i przedstawiał im nowego właściciela. Podobnie czynił przy ulach. W niektórych wsiach dokonywano w tym celu fikcyjnej sprzedaży.

Zmarłego przed włożeniem do trumny trzeba było umyć i ubrać w specjalnie przygotowany strój. Wodę użytą do mycia wylewano dawniej w ustronne miejsce albo na drogę, gdzie wóz przejechał i tym sposobem usuwał jej negatywne właściwości. Wszystkie przedmioty używane przy zmarłym wkładano do trumny albo palono, ponieważ istniała obawa przed ich złym oddziaływaniem. Jeszcze w XIX wieku powszechne było chowanie zmarłych w długiej lnianej koszuli wkładanej przez głowę zwanej *śmiercielnicą*. Koszula ta w zależności od regionu różniła się krojem i drobnymi szczegółami w wykończeniu. Pod spód nakładano płócienne ubranie, a na głowę czapkę, kobietom czepec lub chustkę. Na nogi nie wkładano butów, tylko skarpetki lub pończochy. Ważne było, żeby ubranie nie miało żadnych węzłów, ani nie było łatane, aby nie związać duszy czy grzechów i żeby nie uwierały zmarłego. Pod koniec XIX wieku ludność wiejską chowano w regionalnych strojach ludowych, a w Krakowskim wkładano dodatkowo ubranie robocze, aby zmarły miał w zaświatach strój odświętny i roboczy. Świadczy to o powszechnym traktowaniu świata pozagrobowego w kategoriach ziemskich. Młode dziewczęta i kawalerów ubierano jak do ślubu, a małym dzieciom zakładano białą koszulkę zwaną *zgielko*, *żgielko*, *żgło*. Obecnie ubiera się je w białe ubranka. W niektórych regionach zmarłemu nakładano odzież związaną z jego zawodem, a jeśli był bardzo religijny i należał do świeckiego zakonu, chowany był w habitacie tego zakonu. Ludzie starsi zazwyczaj wcześniej przygotowują sobie ubranie, w którym chcą być pochowani.



foto: K. Miedziński

Pogrzeb dziecka.

Bibliografia:

- A. Fischer, *Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego*, Lwów 1921 r.
- H. Biegeleisen, *Śmierć w obrzędach, zwyczajach i wierzeniach ludu polskiego*, Warszawa 1930 r.
- J. Burszta, *Zwyczaje i obrzędy pogrzebowe*, [w:] *Kultura ludowa Wielkopolski*, t. 3, Poznań 1967.
- A. Szyfera, *Zwyczaje, obrzędy i wierzenia Mazurów i Warmiaków*, Olsztyn 1975.
- K. Kwaśniewicz, *Zwyczaje i obrzędy rodzinne*, [w:] *Etnografia Polski. Przemiany Kultury Ludowej*, pod red. M. Biernackiej, M. Frankowskiej, W. Paprockiej, t. II, Wrocław 1981.
- A. Michalak, *Tradycje i współczesność polskiej obrzędowości pogrzebowej*, Łódź 1987.
- „Etnolingwistyka. Problemy Języka i Kultury”, nr 9/10, Lublin 1998.

Dawniej przygotowane zwłoki kładziono na desce zaścielonej słomą. Była ona ułożona na stołkach na środku izby. Trumnę robił sam gospodarz albo zamawiano ją u stolarza, zazwyczaj nie płacono za nią i dobierano tak deski, żeby w wieku nie było sęków. Do trumny wkładano zmarłemu jego ulubione przedmioty oraz te, które byłyby mu potrzebne w życiu doczesnym i miałyby chronić przed złymi siłami. Do ręki otrzymywał książeczkę, różaniec, czasem obrazek święty. Przedmioty te daje się po to, aby mógł w zaświatach nadal wyznawać swoją wiarę. Wkładano pod głowę zioła poświęcone w dniu Matki Boskiej Zielnej lub w oktawę Bożego Ciała. Istniało przekonanie, że należy do trumny włożyć narzędzia pracy. Tradycja ta najdłużej przetrwała na Śląsku, w Wielkopolsce i na Podlasiu. Powszechny był też zwyczaj dawania nieboszczykowi pieniędzy za ofiarę, które chowano mu do kieszeni albo wkładano mu pod język. Dawniej praktykowano również, szczególnie na wschodnim pograniczu kraju, zaopatrywanie zmarłych, którzy za życia nadużywali alkoholu, w butelkę wódki. Dzieciom dawano ulubioną zabawkę. Przedmioty te miały chronić zmarłego, ułatwić mu drogę do nieba, ale także zapobiec powracaniu jego duszy na ziemię.

Nieboszczyk leżał w domu nie dłużej niż trzy dni. W tym czasie przychodziła rodzina i wszyscy mieszkańcy wsi, którzy chcieli ostatni raz odwiedzić zmarłego. Czuwanie jeszcze dziś ma bardzo istotne znaczenie, gdyż ułatwia duszy zmarłego, która według wierzeń w tym czasie przebywa na ziemi, przejście na tamten świat. W poszczególnych regionach czuwanie przybiera różne formy. W Wielkopolsce, na Śląsku i w Małopolsce każdego dnia

odmawiana była tylko krótka modlitwa. Na Pomorzu czuwanie odbywało się podczas ostatniej nocy. W pozostałych regionach kraju modlitwy i śpiewy miały miejsce przez wszystkie noce bądź wieczory. Wówczas rodzina zmarłego przygotowywała dla przybyłych drobny poczęstunek, czasami nawet wódkę. Na czuwanie zawsze zapraszani byli tak zwani *śpiewacy*, ludzie starsi, którzy wyznaczali, jaka modlitwa czy pieśń żałobna powinna być w danym momencie i dla kogo śpiewana. W Lubelskiem podczas czuwania każdego dnia odmawia się jedną część różańca, litanie, godzinki, koronkę za zmarłego i odśpiewuje się pieśni żałobne z ręcznie zapisanych zeszytów. Pieśni te przepisane są zazwyczaj ze starych kantyczek. Można wliczyć następujące typy pieśni pogrzebowych: pieśni maryjne, psalmy, pieśni do patronów konania, pieśni o Męce Pańskiej, pieśni refleksyjno-żałobne.

Po trzech dniach, a w lecie nawet po dniu czy dwóch, trumna ze zwłokami była wyprowadzana do kościoła, a później na cmentarz. Przed zamknięciem trumny rodzina i zebrani goście żegnali się ze zmarłym, po czym osoby postronne zamykały trumnę, aby zapobiec kolejnej śmierci w rodzinie, gdyż uważa się, że zmarły mógłby zabrać kogoś z bliskich. Kolejną czynnością było symboliczne pożegnanie nieboszczyka z domostwem, poprzez trzykrotne uderzenie trumną w próg bądź trzykrotne opuszczenie jej nad progiem. Wówczas osoba prowadząca kondukt mówi w imieniu zmarłego: *Pokój temu domowi* lub *Ostańcie z Bogiem*. Próg jest bardzo ważnym miejscem w domu, ma znaczenie magiczne - jest granicą pomiędzy tym, co znane, a przestrzenią obcą. Z tego też względu osób, które powiesiły się w domu, nie wynoszono przez próg, ale wykopywano w tym celu specjalny dół pod progiem, przez który wyciągano trumnę ze zwłokami. Miało to też uchronić dom przed złymi siłami. Trumnę zawsze wynosiło się nogami do przodu, aby dusza nie powróciła. W tym też celu wywracano się wszystkie stołki w izbie, na których leżała trumna, otwierało się okna, drzwi, szafki i szuflady. Na Lubelszczyźnie otwiera się też w tym momencie wrota stodół i drzwi do stajni i obór, żeby chronić w ten sposób dobytek. Jest to też forma pożegnania gospodarza z inwentarzem. Wierzono, że gdyby tego nie uczyniono, to pozdychałyby wkrótce zwierzęta w gospodarstwie bądź u sąsiadów.

Trumnę niesiono lub wieziono na wozie zaprzęgniętym w konie. Jednakże nie zaprzęgano kłaczy, aby zmarły nie zabrał im płodności. W Polsce południowej był

zwyczaj trzykrotnego zatrzymywania wozu przed domem, aby dusza zdążyła się przysiąść. Woźnica nie używał też bata, żeby nie uderzyć duszy. Zawsze pamiętano, żeby nie przechodzić drogi konduktowi, bo istniało przekonanie, że zmarły może nie przekroczyć drogi na tamten świat. Na Podlasiu do dziś ludzie wierzą, że jeśli samochód jedzie z przeciwną, kiedy idzie kondukt *to śmierć do wsi zauraca*. Nie wolno było w tym czasie czerpać wody ze studni, żeby jej nie zepsuć i prowadzić konduktu przez pola, aby nie zaszkodzić roślinności. W trakcie drogi do kościoła należało zatrzymać się przy krzyżu, kapliczce przydrożnej lub na granicy wsi, aby zmarły mógł się pożegnać. Odmawiano wówczas wspólną modlitwę i osoby, które nie szły na cmentarz, żegnały się ze zmarłym. Następnie wprowadzano trumnę do kościoła, skąd razem z księdzem kondukt odprowadzał zmarłego na cmentarz. Obecnie w większości wiosek w kraju ksiądz przychodzi po zmarłego do domu i razem z konduktem wyprowadza go na cmentarz. Tam, po krótkiej modlitwie bądź modlitwie pożegnalnej, wkłada się trumnę do przygotowanego dołu i najpierw ksiądz, a za nim rodzina i pozostali rzucają garść ziemi na trumnę. Czasem w zastępstwie księdza czynią to osoby świeckie.

Po pogrzebie rodzina zmarłego zaprasza osoby uczestniczące w ostatnim pożegnaniu do gospody lub do domu na poczęstunek zwany *stypą, pogrzebinami, skórką, przepijaniem skórki, pochówkiem, ubogim obiadem, konselacją*. Poczęstunek wyprawiany po śmierci młodej osoby nazywano dawniej *balem pogrzebowym, obiadem weselnym*. Potrawy podawane na stypie zależały od możliwości rodziny, lokalnych zwyczajów, jak i liczby zaproszonych gości. Dawniej w regionie Małopolskim na stypie grała muzyka i tańczono.

Po powrocie do domu należało posprzątać, podwracać poprzewracane sprzęty, odsłonić lustra i okna i puścić zegar w ruch. W Małopolsce i w Łódzkiem dość powszechny był zwyczaj wyracania wozu po powrocie z cmentarza, którym wieziono trumnę.

Dawniej nie noszono żadnych oznak żałoby, ale przestrzegano zakazów i nakazów obowiązujących w danym regionie, m.in. nie wolno było uczestniczyć w żadnych zabawach. Od dłuższego czasu obowiązuje na polskiej wsi zachowywanie żałoby po zmarłych, czyli zakładanie ciemnych, czarnych ubrań przez określony czas. Po rodzicach i współmałżonku nosi się ją od roku do półtora.

Kiedyś nieco inaczej wyglądał pochówek samobójców, dzieci nieochrzczonych, kobiet, które nie odbyły wyvodu*



foto: S. Bochnig

Drewniany nagrobek na cmentarzu w Mokroci.

i innych nietypowych osób. Urządzano im bardzo skromne ciche pogrzeby. Przestrzegano też zasady niewnoszenia trumny takich osób do kościoła. Ksiądz tylko wychodził i kropił ją święconą wodą.

W przypadku zgonu matki po położu czy jej dziecka obawiano się, że ich dusze będą powracały i dlatego robiono im skromny pogrzeb oraz chowano na skraju cmentarza. Większą obawę zawsze wywoływała śmierć samobójcy, która mogła spowodować różne dziwne zjawiska atmosferyczne. Chowano go zawsze w niepoświęconym miejscu pod murami cmentarza. W górach w Beskidzie Śląskim, Górcach, zwłoki samobójców wynoszono na wzgórze i tam porzucano. Osoby zmarłe śmiercią nagłą, które nie pojednały się z Bogiem, zakopywano zazwyczaj w miejscu, w którym zginęły.

Pamięć po zmarłym czczona jest poprzez zamawianie mszy za jego duszę i odwiedzanie grobu w dniu Wszystkich Świętych, w Dzień Zaduszny, podczas Świąt Wielkanocnych i Bożego Narodzenia oraz w rocznicę śmierci.

Dziś większość opisanych powyżej zwyczajów nie jest już przedmiotem wiary, nie pamięta się dlaczego są stosowane, ale mimo to na wsi nadal się je praktykuje. Świadczy to o sile dawnej tradycji, opartej na mądrości ludowej i specyficznym poczuciu religijności, dopuszczającym między innymi działania magiczne.

Zupełnie inaczej sytuacja wygląda w miastach, gdzie całą oprawą i organizacją pogrzebów zajęły się komercyjne przedsiębiorstwa, co przyczyniło się niemal zupełnie do zaniku dawnych zwyczajów pogrzebowych. ■

* Dawny zwyczaj nakazujący kobiecie po okresie położu uczestnictwo we mszy św. w celu ponownego wprowadzenia do społeczności.

Mariola Tymochowicz jest etnologiem, pracuje w Zakładzie Kulturoznawstwa UMCS w Lublinie.

Jadwiga
Mizińska

Oczy domu

Ludzie patrzają na świat oczami. Domy patrzają na świat oknami. Okna są takie, jak ich mieszkańcy. Okna miejskie są inne od wiejskich. Działają tylko w jedną stronę. Służą głównie do przepuszczania światła z zewnątrz oraz do reprezentacji. Przez okna w bloku da się co najwyżej sprawdzić, czy jest dzień, zmierzch czy już wieczór. Z dziesiątego piętra nie można dostrzec, czy nadchodzą oczekiwani goście, nie da się pomachać ręką dziecku powracającemu ze szkoły. Nie widać listonosza. W ogóle nie widać człowieka, a tylko - ludzi. Z góry wszyscy są jednakowi - szarzy, malutcy, nierozpoznawalni, anonimowi.

MIĘSKIE OKNA nie zdradzają. Nie opowiadają, kto za nimi mieszka, czy jest biedny czy bogaty, szczęśliwy czy nieśczęśliwy, samotny czy skłócony z domownikami i sąsiadami. Plastikowy czy prawdziwy. Miastowe okna wszystko dokładnie ukrywają. Są nieme i coraz częściej ze sztucznego tworzywa. Eleganckie i sterylne. Nieprzepuszczalne. Nie potrafią, czy też nie chcą się otwierać. Ledwie raczą się latem uchylać. Ożywają dopiero wieczorem. Ale co to za życie: enigmatyczne, mało-mówne, skryte. Oświetlone bądź ciemne anonsują zaledwie, czy państwo w domu i czy jeszcze nie śpią - choć może tylko zapomnieli zgasić lampkę.

Okna miejskie są chore na kataraktę. Niby patrzają a nie widzą. Nie można im też spojrzeć w oczy. Zaraz zaczynają mrugać sinym światłem telewizorów. Czasem, z rzadka, zapadają także na choroby psychiczne. Wyrzucają wówczas szaleństwo na parapet. Na dole zbierają się tłumy, przyjeżdżają milicyjne wozy i karetki pogotowia. Szaleństwo w kaftanie jedzie do szpitala, a okno znowu zaciąga się bielmem firanki. Zimą o blaszany, szklisty parapet stukają głodne dzioby ptasie. I odfruwają głodne na śmietnik, bo okruszyny polyka wiecznie zaprzężony odkurzacz.

Jeszcze nie tak dawno okna w bloku świeżowały od wielkiego dzwonu. Stroili się na strąk albo kiedy przybywał z pielgrzymką papież. Teraz już nigdy nie mają niedzieli. Codziennie takie same, martwe, nijakie. Blokują mieszkańców bloków. Strzegą ich od złodziei, od krzyków dzieci z piaskownicy, od oddechu złego powietrza. Izolują od świata i od samego siebie. Raz tylko, odkąd pamiętam, w naszym bloku pootwierały się wszystkie okna i drzwi balkonowe. Było to któregoś roku w lipcu, na imieniny Anny. Siedzieliśmy u Pani Ani i jej chorej Matki i jedliśmy imieninowy tort. Nagle Piotrek zawołał: wszyscy na balkon! Nad wąwozem, kilkanaście metrów nad ziemią płynął majestatycznie ogromny balon. Kolorowy, ale dostojny. Ledwo zdążyliśmy uwierzyć, że to nie fantasmagoria, a już nadpłynął drugi, za nim trzeci, czwarty i ósmy. Każdy innej barwy, ale wszystkie równie piękne, łagodne i nierzeczywiste. Taki prezent. Już nigdy potem nie nadpłynęły, widocznie były tu przelotem. Okna,

tak zwykle znudzone - jęknęły z podziwu. Może przez chwilę poczuły tęsknotę, ale potem znowu oczy zaszkliły im się sennością i martwością. Gapią się z napręciwką jedno w drugie, bez wyrazu.

Okna wsiowe są żywe i bardzo ciekawe. Umieszczone nisko nad ziemią, pilnie obserwują i opowiadają, co się na niej dzieje. Na podwórku u siebie, u sąsiadów i na drodze. Okno od drogi nie przepuści nikomu. Najpierw sprawdza, czy dzieci, jak zwykle, jeszcze zaspane, biegną wszystkie do szkolnego autobusu. (Dlaczego dziś nie ma Tadzia? Aha, rąbie z ojcem drewno na podwórku, pewnie woli to niż klasówkę z matematyki). Potem poprzedzona dźwiękiem klaksonu nadjeżdża pani Kasia, wioząc żuczkiem pieczywo. Z podwórka nadciągają stali klienci. Babcia Jastrzębska z Norbusiem na rowerku po drożdżówki, pan Walczak - dwa duże chleby, pani Ulka po suche, wczorajsze pieczywo dla kozy i kur, czasem pani Teresa po bułeczki dla Michała, Pawła i Sylwii, jak przyjeżdżają w piątek z internatu. Pan Henryk woli kupować w sklepie, zawsze rano można się u Sklepowego dowiedzieć, co zdarzyło się na wsi przez noc.

Po śniadaniu dorośli ruszają do pracy. Kobiety z koszykami na zarobek. Do sadu, zrywać jabłka u bogatszych gospodarzy, albo na pole, wrywać cebule, zbierać kartofle, buraki, ciąć kapustę - jak to jesienią. Mężczyźni, wyprowadziwszy krowy i konie za stodoły na wspólne „paświsko”, zabierają się do swoich spraw. Pan Zbyszek z ekipą do remontów po powodzi nie może ogonić się od roboty. Pan Zdzychu, jeśli to nie poniedziałek (dzień po niedzielnej wypitce) - z drabiną i wiadrami do malowania. Tylko tata Norbusia ma pracę na miejscu, naprawia samochody we własnym warsztacie.

Ulica ożywa na powrót, gdy dzieciaki wracają ze szkoły i po obiedzie lecą grać w piłkę. Same zrobiły sobie w wierzbach boisko, a także - same sobie uplotły siatkę. Osobno „do nogi”, osobno do siatkówki. Czasem wpadają do mnie i pytają: „Jest co do roboty? Bo się nudzimy.” Albo: „Czy można się pohuścić na huśtawce?” Zimą, w przerwie świątecznej, zjeżdżają z górki w parku na wypchanych sianem plastikowych workach po nawozie.

Zaszczekał Brutus, wyglądam oknem na podwórko. Przy futrze Dziadek Wła-

dek. Potrzeba mu pożyczyć latarkę, bo przyszedł elektryk, dawny kościelny z parafii, będą ładować światło. Bez latarki na nic, nie da się trafić do korka...

Czasem okna same wołają, żeby przez nie wyjrzeć. Niekiedy trzeba im jednak pomóc. Zorientowałam się w tym podczas wizyty u pani Mieci. Było chłodno, paliło się pod kuchnią. Zaprosiła siadać do stołu, nakroiła domowego ciasta do herbaty. Ja, jako gość, przodem do ich okna, ona - mając je za plecami. Rozmawialiśmy żywo o ostatnich wydarzeniach - na wsi ukradli konia. Pani Miecia, nie przerywając narracji, co chwila odruchowo odwracała głowę, jakby ją coś wzywało.

W domu jedynie komentowało się życie, ono samo toczyło się za oknem. Trzeba było być uważnym i baczny. U sąsiadów z naprzeciwka pan Bolek naprawiał dach na oborze. Najpierw przydźwigał drabinę, oparł o ścianę. Następnie poszedł do dziadka Władka „się rozgrzać”. Widocznie nieźle mu poszło, bo po godzinie ochoczo wspiął się na dach. Ale za moment rozległ się łoskot i krzyk. Pani Miecia wybiegła z mieszkania, ja za nią. Pan Bolek leżał na cementowej posadzce brocząc krwią z rozbitej skroni.

- Wezwać pogotowie? - spytałyśmy przerażone, widząc, że żyje.

- Broń Boże! - zakazał pan Bolek i polecił nam zawołać syna z traktorem, bo wpierv należało przepłukać usta po dziadkowym „koktajlu”.

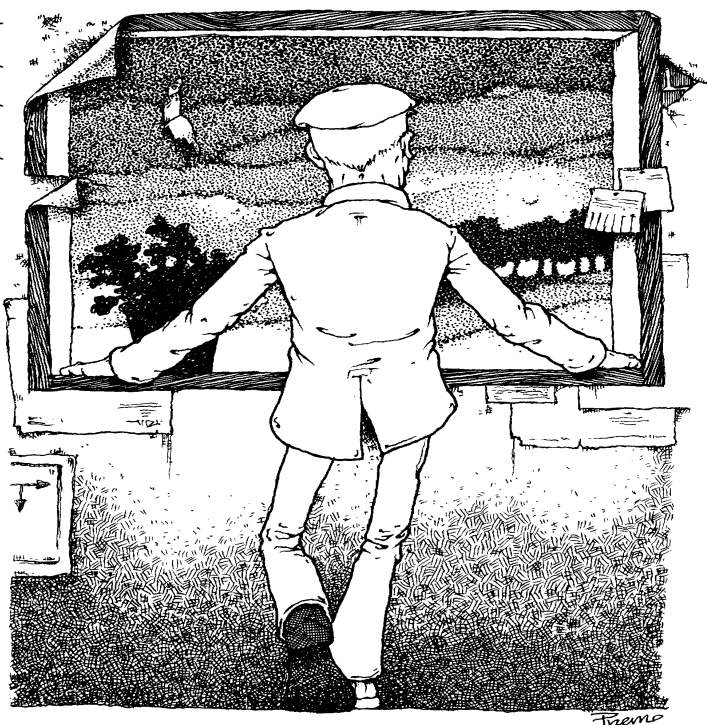
Skończyło się na pękniętym żebrze i „wypadniętej miednicy”. Pan Bolek roztrząsał ją sobie na traktorze, ale w szpitalu wyładował honorowo: już prawie trzeźwy i w czystej bieliźnie. Wszyscy mu współczujemy, najbardziej dziadek Władek: „Po co łóz na dach przy poniedziałku!”

W naszych oknach pełno kwiatków. Doniczki z pelargoniami, prymulkami, begoniami, liliami świętego Józefa, które kwitną raz do roku, na Wielkanoc. Pani Helena wiosną roznosi od domu do domu zaszczepki. Nie należy dziękować, bo się nie przyjmą. Okienne kwiatki muszą być niskie, żeby nie zasłaniały widoku. Większe: fikusy, asparagusy, paprotki stawia się na specjalnych drewnianych stojakach w dużym pokoju.

Na zimę zakłada się okna podwójne, zniesione ze strychu. Słabiej wtedy widać, zwłaszcza, jak jeszcze wlezie na szyby mróz. Trzeba wtedy wychuchiwać dziurki do patrzenia.

W Środopocię chłopaki nie śpią i nad ranem zamalowują od zewnątrz szyby wapnem. Na drugi dzień gospodynie trochę przeklinając, trochę się śmiejąc, czyszczą okna. Najlepiej - suchym papierem. Panny, których okna pominięto - obrażo-

Rys. Przemysław Tytus Krupski



ne. Kpią z tych, które czyszczą szyby, ale im zazdroszczą.

Okna są takie, jacy domownicy. Bywają wystawne, zawieszane falbaniastymi zasłonami i tiulowymi firankami, bywają byle jak zasłonięte poźółklymi zazdrostkami. Zimą w jednych parapety założone watą, a na nich sztuczne kwiaty albo grzybki, bombki lub gałązki choiny, w innych zeschłe muchy. Są okna wesole i okna smutne, okna młode i okna zgrzybiałe, okna samotne i okna towarzyskie. Okna z kotem i okna z zewnątrz zasłonięte folią, żeby było cieplej i żeby nie przeciekało.

Na wsi jesteś niewidoczny tylko wtedy, kiedy to ty spoglądasz przez okno zza zasłonki. Inaczej - wszystkie okna patrzą na ciebie. Nie umkniesz przed ich wzrokiem. No i dobrze, bo każdy przecież może kiedyś spaść z dachu.

Okna wszystko widzą, okna nie wszystko mówią. Czasem spoglądają ci otwarcie w oczy, czasem podglądają kosym okiem. Letnimi wieczorami wdychają po ciemku woń maciejki, zimowymi wieczorami pilnie strzegą ciepła gromadzonego przez cały dzień w ogrzewanych drewnem piecach. Okna wsiowe otwierają się i zamykają. Tego roku lato było tak upalne, że nie opłacało się w wakacje zamykać lufcika. Kiedyś rankiem patrzę... a tu do środka zagląda długi, zielony wąs winogrona. Zawadiacko zakreślony. On też ciekawy, co u mnie słychać. I widać. Ciekawość - pierwszy stopień do piekła. Uchylone okna. Stopień drugi - brak ciekawości i obojętność. Okna zatrzęsnięte na głucho. I na ślepo. ■

Jadwiga Mizińska jest profesorem filozofii w Instytucie Filozofii UMCS, kierownikiem Zakładu Socjologii Wiedzy, autorką m.in. książek „Uśmiech Hioba” (1998), „Imiona losu” (1999), „Herbert - Odyszeusz” (2001).